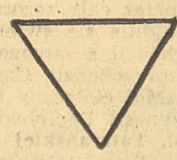


WYBITNY KLIMATOLOG
PROF. DR ANTONI
SABATOWSKI

O WYCIECZKACH ZDROWYCH I NIEZDROWYCH



Ruch wycieczkowy jedno- i kilku-
dniowy przybrał w ostatnich latach
na sile. Nie wszyscy jednak doceniają
w pełni dobrodziejstwo nawet
jednodniowej wycieczki. Gorzej je-
szcze przedstawia się sprawa z ra-
cjonalnym spędzeniem czasu na wy-
cieczce, pojmowanym często nie ja-
ko odpoczynek, lecz jako okazja do
nagromadzenia zbyt wielu wrażeń,
przeżyć, kosztem dodatkowego wy-
siłku po całonocnej pracy.

Ludzie pod wszelkimi szerokością-
mi geograficznymi podróżują za wła-
sne pieniądze, dla przyjemności.
Zmiana bowiem otoczenia dostarcza
wiele przyjemności, co nie jest obo-
jętne dla współczesnego człowieka
żyjącego w ustawicznym napięciu
nerwowym.

Pogoń za zmianą — to cecha ludzi
młodych zmieniających chętnie miej-
sce pobytu a nawet miejsce pracy
(do niedawna — wędrowni rzemieś-
lnicy).

Kto może iść na wycieczkę?

Należy rozgraniczyć wycieczki
górskie i nizinne. Pierwsze są prze-
znaczone dla ludzi młodych i zdro-
wych, nie zapasionych, posiadają-
cych pewną zaprawę i dostateczną
sprawność fizyczną. Człowiek pracu-
jący w pozycji siedzącej lub stoją-
cej, nie powinien bez zaprawy poru-
wać się na dłuższe wycieczki górskie.
Fizyczne zmęczenie, zwłaszcza u lu-
dzi o dużej wadze, sumuje się.

Starsi ludzie winni zadowolić się
wyjazdem na tereny nizinne i spe-
dzeniem dnia na ławce, względnie
kocu nie nadużywając chodzenia.
Nie powinni daryć niezmiennym
zaufaniem własnych nóg i serca.
Wycieczka winna obejmować bli-
ższy dystans i dłuższy odpoczynek, w
terenach łagodnych. Im starszy wiek,
tym krótsza trasa wycieczki, tym
dłuższy równocześnie odpoczynek.

Zalety i wady weekendu

Weekend daje odprężenie, pewien
ładunek humoru, dzięki czemu czło-
wiek podchodzi pogodniej do swoich
trosk codziennych. Musi być jednak
zachowany jeden warunek: nasza
jednodniowa wycieczka za miasto
nie może uszczuplać snu, a zmęcze-
nie powinno kompensować się zaw-
sze odpoczynkiem.

Jednodniowa wycieczka, np. do
Zakopanego (bez noclegu) rozpoczyna-
jąca się we wczesnych godzinach
rannych, a kończąca w późnych go-
dzinach wieczornych — nie daje dla
zdrowia absolutnie nic. Nawet jeśli
człowiek udaje się własnym samo-
chodem. Sam fakt znajdowania się
i poruszania po zatłoczonej szosie
wywołuje napięcie systemu nerwo-
wego tak u „kierowcy”, jak i „pa-
żazerów” i deprecjonuje tym samym
wycieczkę. Z punktu widzenia hy-
gieny nerwów należy usilnie dążyć
do rozproszenia tego natłoku po róż-
nych drogach i do różnych miejsc-
wości.

Warto tutaj nadmienić, że Szwaj-
carzy wprowadzili pięciodniowy ty-
dzień pracy z 14-dniowym urlopem
rocznym, przywiązując tym samym
większą wagę do weekendu, niż do
miesięcznego urlopu rocznego. Z
punktu widzenia lekarskiego zagad-
nienie to winno być i u nas przedy-
skutowane.

Dobór wycieczkowiczów

Grupa udająca się na wycieczkę
powinna się składać z ludzi o wy-
równanej kondycji i wieku. Towa-
rzystwo powinno być tak dobrane,
aby żaden z wycieczkowiczów nie
hamował pozostałych, względnie nie
doprowadzał swego własnego orga-
nizmu do przemęczenia, spadku sił.

Zbyt licznie „załudnione” wyciecz-
ki, a w ślad za tym zbyt hałaśliwe,
są niezwykle uciążliwe i niepożąda-
ne. Uczestnicy takich wycieczek nie
wypoczywają, nie mówiąc już o tym,
że swoim niezapowiedzianym poja-
wieniem się w danej miejscowości
wywołują dezorganizację na odcin-
ku aprowizacyjnym. Uczestnikom
tego typu wycieczek należałoby wła-
ściwie dać następny dzień wolny od
pracy, aby doprowadzić organizm do
równowagi. Ponieważ nie jest to
możliwe, należy zrezygnować z tego
typu wycieczek.

Co jeść, co pić — na wycieczce?

Jeśli wycieczka przewiduje dłuż-
szy marsz, który wymaga pewnego
wysiłku, pożądane jest pożywienie
białkowe, a więc mięso, konserwy
mięsne lub rybne, chleb, ciasta, sło-
dyczne itd.

Na skutek pocenia się i oddawa-
nia ciepła, człowiek potrzebuje spo-
ro płynów do zachowania równowa-
gi termicznej organizmu. Można pić
zatem wodę ze studni, mineralną,
wodę z sokiem, zsiadłe mleko, a na-
wet niskoprocentowe piwo, byle nie
za dużo naraz. Duże ilości napojów
spożywane naraz, zmniejszają spraw-
ność plechura, obciążają spraw-
ność mięśni, powodują zmęczenie.
Najlepiej napić się słonego napoju
(masz pot jest słony!) jak np. zupy,
wody zagotowanej z przyprawą
„Maggi”, mineralnej „Szczawnic-
kiej” itd. Picie należy skutecznie
podczas spoczynku.

Trzeba unikać „wytrzymałości” na
pragnienie podczas wycieczki, gdyż
niedobór wody prowadzi do pow-
szecznego zmęczenia i zaburzeń u-
strojowych.

Unikać napojów alkoholowych,
które są dla wycieczkowiczów wro-
giem numer 1. Wódka obniża spraw-
ność fizyczną i rozprasza uwagę,
pozbawiając wycieczkowicza pełni
wrażeń wzrokowo-estetycznych.

W związku z tym wysuwa się na
czoło postulat rozbudowy barów i
kiosków z napojami bezalkoholowy-
mi na trasach wycieczek. Ich do-
tychczasowa ilość i zaopatrzenie jest
nieдостateczne, co popycha nierad-
ko wycieczkowicza do picia piwa, a
nawet wódki, wobec braku innych
napojów.

Co robić na wycieczce?

Nie wykonywać oczywiście pracy
zawodowej, nie mówić o niej, nie
dyskutować na tematy awansów,
premi, odznaczeń itd., związanych
ze środowiskiem pracy zawodowej.
Unikać oschłych dyskusji, które
prowadzą z reguły do rozbieżności po-
glądów, podniecenia, a niekiedy na-
wet zacietrzewienia.

Przebywać w nielicznym gronie
osób dobrze znanych, miłych choć
nie zawsze tych samych.

Wycieczka winna mieć charakter
wypoczynku czynnego, a więc po
marszu — odpoczynek, posiłek, a na-
wet drzemka, po czym z kolei gry
sportowe i znów lekki marsz.

Najważniejsze — nie doprowadzić
organizmu do wielkiego zmęczenia.
Lekkie zmęczenie fizyczne powodu-
je odprężenie nerwowe, sprzyja pow-
rotowi do równowagi psychicznej,
podczas gdy przemęczenie fizyczne
sumuje się ze zmęceniem umysł-
owym. Nadmierny wysiłek powoduje
bezsensowność.

Wycieczka spędzona rozsądnie —
przywraca siły i chęć do pracy, pod-
czas gdy spędzona na „dziko”,
względnie dla zaspokojenia snobi-
stycznych zachcianek — potęguje na-
sze zmęczenie i stan napięcia ner-
wowego.

Rozmawiał:
JAN DOLECKI

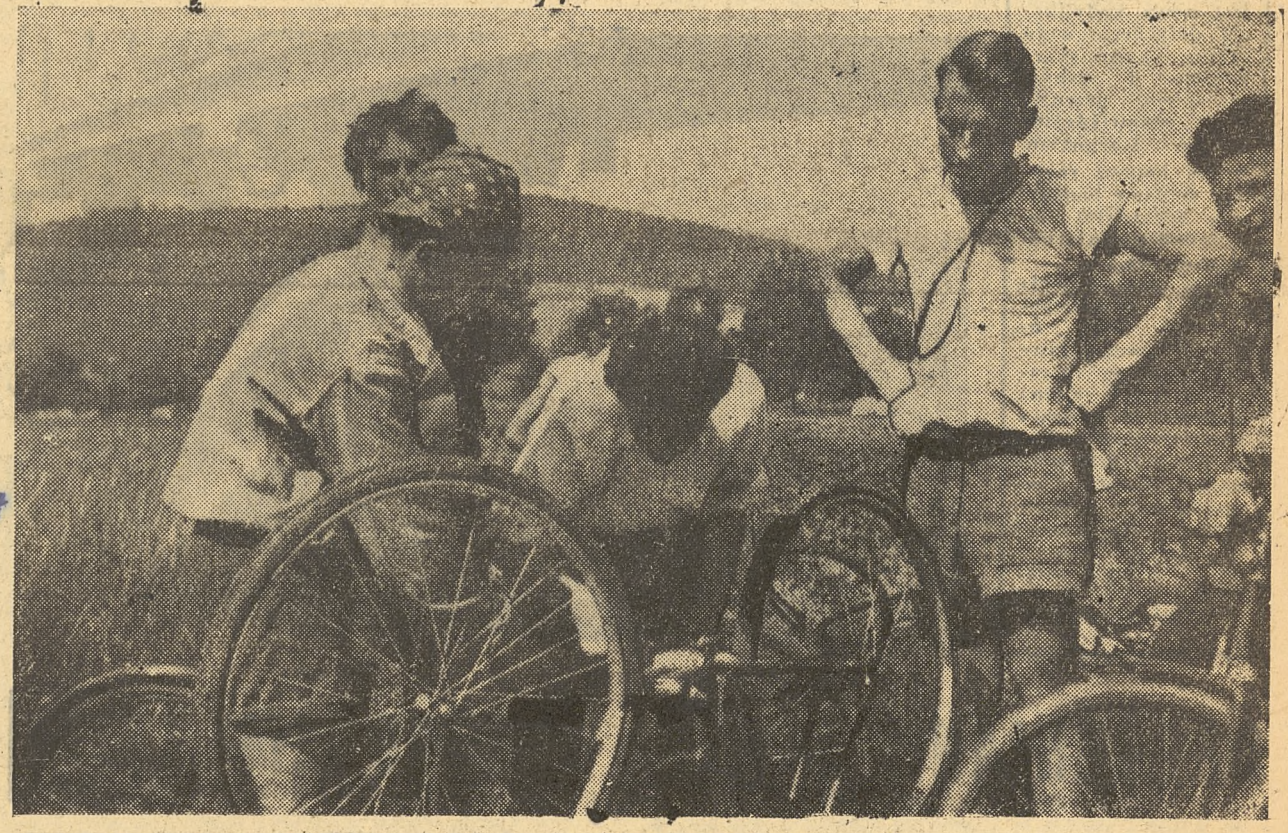


Wczasy nad Jeziołem Rożnowskim

Fot. TADEUSZ KAMIŃSKI, Kraków

zdarzenia

KRAKÓW 24 IV 1960 R. ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY NR 17 (164) CENA ZŁ. 1.50



Wycieczki na kółkach są świetną rozrywką w sobotę i niedzielę

Fot.: JACEK ODZIOMEK Łososina Górna



Fot.: ZYGMUNT PERYT, Zakopane

DELEGACJA MONGOLII W POLSCE

Do Polski przybyła delegacja partyjno-rządowa Mongolskiej Republiki Ludowej. Delegacji przewodniczy Z. Sambu.

PREMIER TURCJI W MOSKWIE

Do ZSRR przybędzie w lipcu br. z oficjalną wizytą premier Turcji Menderes. Zapowiedź wizyty wywołała duże wrażenie, ponieważ Turcja jest pierwszym krajem, który przystąpił do zachodniego paktu NATO.

CZOU EN-LAI W INDIACH

Premier Chińskiej Republiki Ludowej Czou En-lai udał się w podróż do Birmy, Indii i Nepalu na zaproszenie rządów tych krajów. Premierowi towarzyszy 30-osobowa grupa polityków i dyplomatów.

ZDARZENIA TYGODNIA

NOWE USTAWY SEJMOWE

Sejm PRL uchwalił cztery nowe ustawy. Pierwsza z nich to nowe przepisy karno-skarbowe i dewizowe. Ustawa ta jest nową kodyfikacją dotychczasowych przepisów karno-skarbowych i usuwa przestarzałe przepisy nie odpowiadające nowym warunkom. Druga ustawa reguluje sytuację banków oraz spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowych.

Dla usprawnienia ochrony przeciwpożarowej Sejm uchwalił nową ustawę regulującą te sprawy. Ostatnia ważna uchwała to ustawa o powołaniu Komitetu Pracy i Plac przy Radzie Ministrów, oraz zmiany w dziedzinie ubezpieczeń społecznych, rent i opieki. Ustawa znosi Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej.

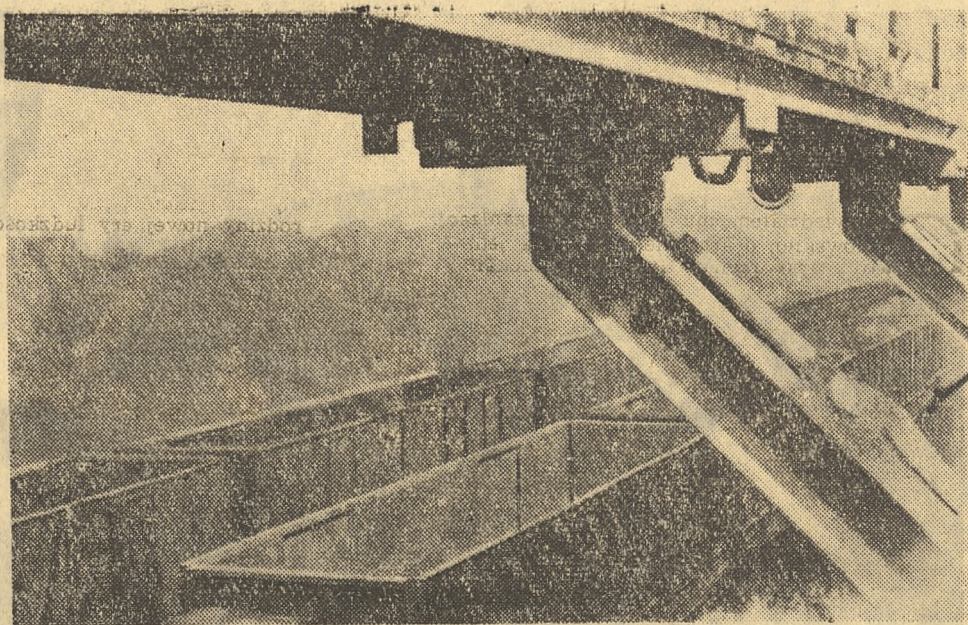
ON I GO ZNA LI



W Warszawie rozpoczynają się obrady II Krajowego Zjazdu ZMS, w których weźmie udział ponad stu delegatów z naszego województwa. Na zdjęciu kilku pracowników trzeciego wielkiego pieca w Hucie im. Lenina, którego obsługę stanowi w całości brygada młodzieżowa ZMS!

Fragment największego suchego portu przeładunkowego Medyka — Żurawica, zbudowanego niemal całkowicie w wyniku układu gospodarczego pomiędzy ZSRR i Polską, zawartego dokładnie 15 lat temu.

Zdjęcia — Wiesław Książek



OPRÓŻNIANIE BECZKI Z PROCHEM

POLITYKA

Podobno można świetnie siedzieć na beczce z prochem i gryźć pestki słonecznika — byle tylko się nie wiedziało, że w tej beczce jest proch. Najłatwiej więc być odważnym i spokojnym, a nawet buńczucznym i nieustrasconym wtedy, gdy się nie ma pojęcia o niebezpieczeństwie. Przychodzi jednak moment, że w końcu zajrzy się do beczki — nie daj Boże ze świeczką w ręku. Wtedy groza jeży włos na głowie.

Olbrzymia większość myślących ludzi zdaje sobie sprawę, że planeta nasza coraz wyraźniej upodabnia się do przysłówowej beczki z prochem. Geniusz XX wieku jest postacią o dwu licach: równocześnie uśmiecha się do ludzkości wizją świetlanej przyszłości, a zarazem widmem wielkich klęsk i katastrof. Jakkolwiek oblicze jego zależne jest od woli i ludzkich chęci — sek w tym, że nie wszyscy, od których to zależy, chcą — chcieć, by oblicze tego geniusza nabrało wyrazu jednoznacznego, godnego epoki rozsądku i wielkiego rozumu.

Pęczniejąca z dnia na dzień beczka z niebezpiecznym materiałem wybuchowym spędza z oczu sen wielu ludziom. Niezależnie od ich koloru skóry czy światopoglądu. Nikt nie czuje się dostatecznie opancerzony przed groźnymi skutkami jej wybuchu, swoim stanem majątkowym, poglądami, pochodzeniem. Jak rozładować niebezpieczeństwo — nad tym radzi w Genewie Komitet Rozbrojeniowy dziesięciu państw.

Sprawa nie jest łatwa — choć dyktanci przy okrągłym stole obradują w atmosferze daleko lepszej niż pamiętna z okresu wszechogarniającej „zimnej wojny”. Przecież jej relikty w postaci nieprzewidywalnych jeszcze do końca nieufności, ciągłego dyskursu co ważniejsze: kontrola (strona zachodnia) czy faktyczne rozbrojenie (obóz pokoju) bynajmniej nie ułatwiają dojścia do porozumienia. Ostatnio, z upoważnienia delegacji państw socjalistycznych, delegacja radziecka przedstawiła Komitetowi niezwyklej wagi dokument do rozpatrzenia: „Główne zasady powszechnego i całkowitego rozbrojenia”.

Dokument postuluje, by powszechne i całkowite rozbrojenie obejmowało rozwiązanie wszystkich sił zbrojnych, likwidację wszystkich rodzajów produkcji wojennej, likwidację wszystkich obcych baz na cudzych terytoriach, wycofanie z tych terytoriów wojsk, zakaz broni jądrowej, chemicznej, bakteriologicznej i rakietowej, przerwanie produkcji tej broni i zniszczenie wszystkich jej zapasów, rozwiązanie organów instytucji zajmujących się w państwie sprawami wojskowymi, zakaz szkolenia wojskowego, likwidację szkół wojskowych i zaprzestanie wydatkowania funduszy na cele wojskowe.

Zgodnie z propozycją powszechne i całkowite rozbrojenie miałyby być przeprowadzone w uzgodnionej kolejności etapami — i doprowadzone do końca w ściśle określonym terminie — w ciągu czterech lat.

Wszystkie posunięcia przewidziane w programie powszechnego i całkowitego rozbrojenia odbywałyby się pod kontrolą międzynarodową, której zasięg powinien odpowiadać zasięgowi i charakterowi dokonywanych w każdym etapie kroków rozbrojeniowych. W celu zorganizowania kontroli inspekcji nad rozbrojeniem, utworzono by międzynarodowy organ kontroli z udziałem wszystkich państw. Organ ten działałby w oparciu o specjalne postanowienia, które byłyby nieodłączną częścią układu rozbrojeniowego.

Po rozbrojeniu państwa dysponowałyby tylko ściśle ograniczonymi, uzgodnionymi dla każdego kraju, kontyngentami policji, względnie milicji, uzbrojonej w lekką broń palną, zajmującej się wyłącznie utrzymaniem porządku wewnętrznego i czuwaniem nad osobistym bezpieczeństwem obywateli.

Dokument ten dzięki swej jasności, prostocie i co najważniejsze, konsekwentnemu postawieniu sprawy: by rozbrojenie było faktycznie rozbrojeniem, z pewnością przyczyni się do przyspieszenia chwili, w której beczka z prochem, na której niestety spoczywają ciągle jeszcze losy wspólczesnej cywilizacji a może i egzystencji świata — zacznie się opróżniać.

Dokument rozbrojeniowy państw socjalistycznych może się w pełni przyczynić do tego, że rezultaty wyzwolenia energii atomowej i nowoczesny rozwój techniki przybliży postać nie dramatycznego ale fantastycznego rozwoju ludzkości.

Adam Staniek

Redakcyjna „Warszawa” wiezie nas zakopiańską szosą. Mijane w szybkim tempie miasteczka i wsie podhalańskie zdradzały swym niecodziennym ożywieniem zbliżające się święta. Z wąskich i krętych uliczek Nowego Targu wypadamy znów na szosę. Mamy szczęście: łaskawy wiatr rozsuwa mgły i oto ukazują się urzekający widok ośnieżonych gór.

W widłach szos wiodących do Bukowiny i Zakopanego stoi Muzeum Lenina w Poroninie. Podczas gdy kolega działa swoją „Exaktą”, ja robię pierwsze notatki reporterskie. Zapytuję o frekwencję zwiedzających Muzeum. Padają cyfry — rocznie średnio ok. 90.000, zaś od początku br. już ok. 15.000 zwiedzających. Liczba ta niemal z każdym dniem rośnie, a wraz z nią popularność Muzeum.

— Należałoby natomiast — mówi p. Marzec — więcej spopularyzować dom Teresy Skupień w Białym Dunajcu, w którym mieszkał W. I. Lenin. Po prostu wycieczki jadące autobusami powinny zatrzymywać się w Białym Dunajcu, celem obejrzenia wnętrza tego domu. Średnia roczna zwiedzających dom wynosi zaledwie 10.000 osób.

— Mam jeszcze coś interesującego — to setki listów, które Muzeum nasze otrzymuje przeważnie od młodzieży radzieckiej w związku z 90-rocznicą urodzin Lenina. Autorzy listów proszą o przesłanie materiałów i zdjęć z życia i pobytu Lenina w Polsce. Oczywiście kierownictwo Muzeum na wszystkie listy odpisuje. Przeglądam stos kopert i datowniki pocztowe: Tombowska Oblast, Irkuck, Kaługa, Donbas, Litewska Republika, Woroneż, Leningrad, Gorkij, Moskwa, Murmańsk, Kałuska Oblast, Petropawłowsk...

Oto nazwiska ludzi pamiętających dobrze Włodzimierza Uljanowa i — co równie ważne — żyjących do dzisiaj: **Paweł Gut Mostowy**, właściciel domu muzealnego, **Maria Kasprończowa** — „pani na Harendzie”, **Mieczysław** i **Tadeusz Radkiewiczowie**, mieszkający w Zakopanem i **Franciszek Cudzych**, syn Teresy Skupień z Białego Dunajca.

Odnótowuję więc wspomnienia F. CUDZICHA:

— Pamiętam Włodzimierza Lenina, który mieszkał w domu mojej matki i ojca, wraz z żoną. Codziennie latem przynosiłem na godzinę szóstą rano po 3 kwarty mleka przez cały sezon. W. Lenin mieszkał z żoną w izbie, gdzie dziś znajduje się świetlica. Pamiętam, że jak była pogoda, to zawsze wychodził z samego rana w góry. Były wypadki, że nieraz na obiad nie przychodził. Czytał dużo gazet. Na dalszą wycieczkę jeździł rowerem. Mój ciocieczny brat **Franeć Cudzych**, który już nie żyje, często przynosił Leninowi psstragi.

Tuż za cmentarzem poronińskim, przy ul. Tatrzańkiej mieszka **PAWEŁ GUT**. Wchodzimy do obszernej izby. Przy stole siedzi starszy mężczyzna w góralskich portkach i... o zgrozo — sztruksowej marynarce. Przedstawiamy się. Ale dla Pawła Guta wizyta dziennikarza, to zwykła rzecz. W 1913 roku informuje nas Gut — przyjechali zagraniczni goście i wynajęli parę pokoi. W owym czasie dom mojej matki Wiktorii, był największy w Poroninie. Matka prowadziła tu rodzaj pensjonatu. Przybyłe z zagranicy odbywali w nim swoje narady. Mówili po rosyjsku. Zwykle bywało ich około 30 osób. Między nimi był również Włodzimierz Uljanow. **Paweł Gut** miał wówczas 17 lat, pamięta więc doskonale. Narady przeciągały się często do późnej nocy. Matka Pawła podawała gościom najwyciejszą herbatę. Nasz rozmówca wspomina dalej, jak kiedyś zastał Lenina siedzącego na ławeczce pod Krzyżem Grunwaldzkim istniejącym do dziś na Galicowej Grapie. Lenin zachwycał się widokiem gór i dopytywał Pawła o nazwy szczytów tatrzańskich.

Chociaż **Paweł** cierpi na astmę kardialną, podchodzi z nami, zresztą nie bez trudu, na Galicową Grapę, w stronę Krzyża Grunwaldzkiego. Niestety ławeczki na której siadywał Lenin już nie ma.

Dalsza droga wiedzie na „Harendę”. W tym celu zjeżdżamy z betonowej szosy zakopiańskiej na starą, bitą drogę, biegnącą tuż nad potokiem. Do gazdostwa autora „Księgi ubogich” prowadzi mostek nad rwącą Zakopiańką i strone podejście schodami. W pięknym, w stylu góralskim drewnianym domu, przyjmują nas siostra p. Kasprończowej. Dłuższe oczekiwanie na p. Marię skracamy sobie zwiedzaniem pokoi, w których mieszkał, tworzył i zmarł wielki poeta. Na ścianach mnóstwo portretów i fotografii Jana Kasprończowa, maska posmiertna i świetny obraz pędzla Władysława Jarockiego, przedstawiający domek góralski z werandą Mardulów-Galów, na której Kasprończowiec przyjął w 1914 roku W. Lenina po opuszczeniu przez niego więzienia w Nowym Targu.

W drzwiach ukazuje się p. MARIA KASPRONCZOWA. Prosimy o parę wspomnień o Włodzimierzu Uljanowie. Okazuje się, że państwo Kasprończowiec znali początkowo Lenina tylko z widzenia z Poronina, najczęściej, gdy przejeżdżał swoim rowerem przez pobliską drogę. Niestety, wówczas do osobistego poznania nie doszło, gdyż jak twierdzi p. Maria, mieszkali zbyt daleko od siebie. Dnia 8 sierpnia 1914 r. Lenin został aresztowany i osadzony w nowotarskim więzieniu. Przyjaciele Lenina, Polacy i Rosjanie podjęli akcję mającą na celu jego uwolnienie. Na prośbę działaczy socjalistycznych z Krakowa, m. in. posłów dr Marka i Liebermanna, Kasprończowiec interweniował osobiście u wicestarosty nowotarskiego — **Zukocińskiego**, przy czym zdołał go przekonać, że „Lenin nie jest niebezpieczny dla monarchii austro-węgierskiej, lecz dla caratu”. **Zukociński** obiecał, że za trzy dni Lenin zostanie zwolniony z więzienia. Rzeczywiście po tym terminie Lenin przyszedł do państwa Kasprończowicz i spędził pół godziny na werandzie domu Mardulów-Galów. Rozmawiali wówczas głównie o sprawie paszportu.

Pani Maria Kasprończowa pragnie jeszcze rozwiać legendę o spotkaniu z Leninem w 1920 roku. Prawdą natomiast jest niezwyczajna pomoc Lenina okazana przy powrocie rodziny pani Kasprończowej z Petersburga do Polski. Mimo nawału zajęć Lenin znalazł nawet czas na to, aby osobiście zatelegrafować z Kremla: „Pani list otrzymałem przed trzema dniami. Zrobiłem wszystko, co potrzeba, aby ułatwić wyjazd rodziny z Rosji. Paszporty są im już wydane. — Lenin”.

Rodzina pani Marii przebyła podróż z Petersburga do granicy estońskiej specjalnym pociągami w towarzystwie dwóch komisarzy. Taki był Lenin — wdzięczny, wspaniałomyślny dla przyjaciół — kończy p. Maria swoje wspomnienia.

Udajemy się do Zakopanego.

W piętrowym domku na „Parcelach urzędniczych” w Zakopanem mieszkają pp. Radkiewiczowie, liczący już dzisiaj ok. 80 lat życia. Upzejmi gospodarze domu, zajęci są całkowicie przygotowaniami do świąt. Przyjeżdżamy więc mocno nie w porę.

Pomimo to, uzyskujemy błyskawiczny wywiad. **TADEUSZ RADKIEWICZ** pełnił w latach 1910—1920 funkcję naczelnika urzędu pocztowego w Poroninie, zaś jego małżonka **Mieczysława** zatrudniona była również w urzędzie. Trzeba wyjaśnić, że ówczesna poczta poronińska znajdowała się mniej więcej w okolicy dzisiejszego Muzeum.

Uwagę p. Mieczysławy zwróciły gazety i czasopisma przychodzące z całego świata na adres Włodzimierza Uljanowa. Były tam m. in. austriackie „Neues Wiener Journal”, „Neue Freie Presse”, „Die Zeit”, francuski „Le Figaro”, z Włoch „La Tribuna”, nowojorski „New York Herald” i inne. Wł. Uljanow sam zwykle podpisywał przekazy i listy polecione, przychodził na pocztę wcześniej rano i po południu. Z usposobienia był bardzo uprzejmy.

P. Mieczysława pamięta doskonale Uljanowa, jako barczystego, mocnej budowy, szatyna o rudawym zarostku. Chodził zwykle w panamie z czarną wstążką. Gdy wyjeżdżał, pisał do pana Radkiewicza listy w języku niemieckim z prośbą o przechowanie dla niego przesyłek pieniężnych, przekazów, telegramów i listów polecanych. Po powrocie do Poronina, naczelnik urzędu otwierał pocztę nawet po godzinach pracy i doreczal przesyłki. W. Uljanowi towarzyszyła żona, **Nadieżda Krupska**. Pani Radkiewiczowa pamięta, że wyróżniała się suknią z białego płótna góralskiego. Kruczo-czarne włosy nosiła w artystycznym nieładzie. Miała ciemne oczy. Na pocztę nie przychodziła. Często można ją było widzieć w czasie zakupów. Uljanow jej w tym pomagał, dźwigając nabyte środki żywnościowe. P. Radkiewiczowa wspomina również o próbie uruchomienia przez emigrantów rosyjskich w budynku poczty, gdzie mieszkała z mężem, nielegalnej drukarni. Wynajęła nawet w tym celu oddzielny pokój. Niestety sprawa się przypadkiem wydała, gdyż rozmowę jej z mężem podsłuchiwał komendant żandarmerii austriackiej, który próbę tę udaremnił.

Jerzy Kwietniewski

Moje spotkania z LENINEM

(Fragment powieści „Lata, ludzie, życie” nad którą pracuje obecnie autor).



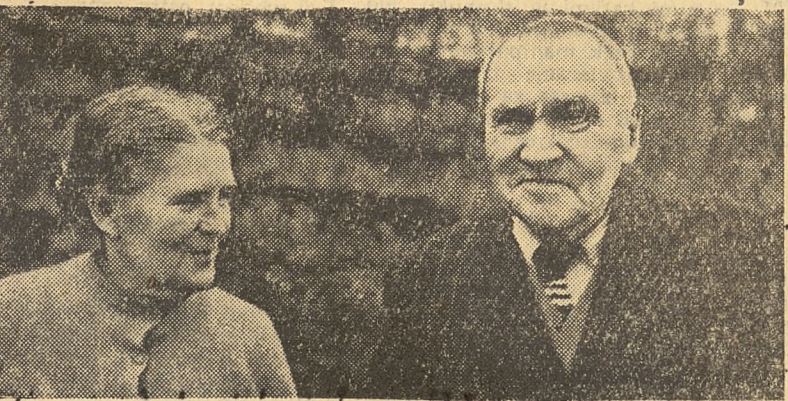
Pomnik Włodzimierza Lenina w Poroninie...



Po tych łąkach i halach lubił spacerować Lenin. Tutaj odpoczywał i stąd podziwiał panoramę Tatr. Tutaj spotykał Lenina Paweł Gut



Codziennie przejeżdżał rowerem pobliską drogą — wspomina Lenina pani Kasprowiczowa, wdowa po wielkim poecie.



Tadeusz Radkiewicz był w latach 1910—20 naczelnikiem urzędu pocztowego w Poroninie. W tym samym urzędzie pracowała jego żona — Mieczysława. Rozmawiali codziennie z Leninem, który przychodził po swoje korespondencje.

Wszystkie zdjęcia: Wiesław Książek

Bolszewicka grupa zbierała się w kawiarni na Avenue d'Orlean, w pobliżu Iwa Belforskiego. Na pierwszym piętrze znajdowała się nieduża sala, którą, zgodnie z panującymi w Paryżu zwyczajami, wynajmowano bezpłatnie; goście płacili jedynie za kawę lub piwo. Zjawiliśmy się tu jako jedni z pierwszych. Zapytałem Sawczenko, co mam zamówić. Odpowiedziała, że „grenadin”, ponieważ wszyscy nasi piją grenadin... I rzeczywiście. Wszystkim podawano jasnoczerwony mdły syrop, do którego dodawano wodę salterską. Tylko Lenin zamówił szklankę piwa (potem niejednokrotnie słyszałem zdumienie kelnerów: rewolucjonści a piją grenadin!... Syrop francuski dodają do zbyt mocnych, gorzkich napojów, a w niedzielę, kiedy bywaliśmy przyprawiali całą rodzinę, częstuje się grenadinem malców bezpłatnie.)

W zebraniu uczestniczyło 30 osób, ale ja patrzyłem tylko na Lenina, który ubrany był w ciemny garnitur ze stojącym, wykroczonym kołnierzykiem. Wyglądał bardzo poprawnie. Nie pamiętam, o czym mówił, ale będąc dość zuchwałym młodzieńcem, zabrałem głos, sprzeciwiając się jego wywodom. Odpowiedział mi miękko, nie zwymysłał, lecz wyjaśnił wszystko, czego nie rozumiałem...

Ludmiła powiedziała mi od razu, że postąpiłem głupio. Kiedy zebranie skończyło się, Włodzimierz Iljicz podszedł do mnie: „Wy jesteście z Moskwy?” — Wyjaśniłem, że do stycznia ubiegłego roku pracowałem w organizacji moskiewskiej, po czym zostałem aresztowany, że próbowałem urządzić się w Poławie, gdzie odszukałem towarzyszy. Lenin zaproponował, abym go odwiedził.

Odnalazłem dom na ulicy w pobliżu parku Monsuri. Stałem długo pod drzwiami, nie mogąc się zdecydować na naciśnięcie dzwonka; z niedawnej zuchwałości nie pozostało nawet śladu. Drzwi otworzyła Nadieżda Konstantinowna. Lenin pracował, siedział zamyślony nad długim arkuszem papieru, z lekko przymrużonymi oczyma.

Odpowiedział mi o wsypie organizacji uczniowskiej, o artykule „Dwa lata jedynej partii”, o sytuacji w Poławie. Słuchał uważnie, niekiedy uśmiechając się z lekka. Wydawało mi się, że on domyśla się mego młodego wiegmatawa wszystkie moje myśli. Powiedziałem, że znam na pamięć adresy dla wysyłki gazet. Nadieżda Konstantinowna adresy zapisała. Chciałem już odejść, lecz Włodzimierz Iljicz zatrzymał mnie. Zaczął wypytywać, jakie nastroje panują wśród młodzieży, który z pisarzy jest poczytny, czy „Znaniya” mają swych czytelników, na jakich przedstawieniach byłem w Moskwie u Korsza, w Artystycznym. Lenin spacerował po pokoju, podczas gdy ja siedziałem na taborecie. Nadieżda Konstantinowna powiedziała, że już pora do obiadu. Doszedłem do wniosku, że zasiadziałem się, ale zatrzymano mnie i poczęstowano obiadem. Zdumiony byłem porządkiem — książki leżały na półkach, na biurku Włodzimierza Iljicza nie było żadnego bałaganu, tak nieodownego w pokojach moich moskiewskich towarzyszy, czy też w mieszkaniu Sawczenko i Ludmiły. Lenin kilka razy powtarzał do Nadieżdy Krupskiej: „On prosto stamtąd... wie czym żyje młodzież...”

Zdumiała mnie jego głowa. Przypomniałem sobie o tym w piętnaście lat później, gdy zobaczyłem Lenina w trumnie. Długo patrzyłem na tę zdumiewającą czaszkę, która zmuszała do myślenia nie o anatomii, lecz o architekturze.

Słyszałem Lenina kilka razy przemawiającego na zebraniach. Mówił spokojnie, bez patosu, bez krasomówstwa, trochę gardłowym głosem, uśmiechając się niekiedy. Jego przemówienia przypominały spiralę; obawiając się, że nie zostanie należycie zrozumiany, wracał do wypowiedzianej już myśli, ale nigdy nie powtarzał jej, lecz dodawał coś nowego.

Lenin śledził uważnie życie polityczne Francji, studiował jej historię, ekonomikę znał robotników paryskich. Nie tylko mówił po francusku, lecz mógł również pisywać w tym języku artykuły.

W maju 1909 roku byłem na demonstracji przy Ścianie Komunardów. Na przodzie szli uczestnicy Komuny, których było jeszcze sporo i którzy kroczyli dziarsko. Dla mnie wydawali się sędziwymi starszyskami, ponieważ myślałem o Komunie jak o kartach starożytnej historii. I pomyśleć tylko — przecież to było zaledwie 38 lat temu! Obok Ściany Komunardów zobaczyłem Lenina stojącego wśród grupy bolszewików.

Widziałem również Lenina i w bibliotece Saint Geneve i na ławeczce w parku Monsuri, wśród starszyszek i dzieci, w robotniczym teatrze na ulicy Gete, gdzie piosenkarz Montegus śpiewał rewolucyjne pieśni.

W ferworze polemiki z eserami, którzy pogardzali prawami rozwoju społeczeństwa, ja — rzecz jasna — negowałem jakąkolwiek rolę jednostki w historii. Przekład Lenina ustawił wiele rzeczy na swoim miejscu.

Gdy odwiedziłem Włodzimierza Iljicza, gospodyni powiedziała ostro: „wycierać obuwie”. Czyż ona zdawała sobie sprawę, kto jest jej lokatorem? Czy mógł przypuszczać kelner z kawiarni na Avenue d'Orlean, że o panu, który zamawia szklankę piwa, po ośmiu latach będzie mówić cały świat? Czy mogli domyślać się czytelnicy biblioteki, że człowiek wynotowujący skrupulatnie z książek cyfry lub nazwiska, zmieni bieg historii, że o nim będą pisać tysiące autorów we wszystkich językach świata?

Czy wreszcie ja, patrząc wówczas z czcią na Lenina, mogłem sobie wyobrazić, że mam przed sobą człowieka z imieniem którego związane będą narodziny nowej ery ludzkości?

Nie zapomnę nigdy czterech nocy poprzedzających pogrzeb Lenina, kiedy Moskwa żegnała się z Włodzimierzem Iljiczem. Był silny mróz, na placach paliły się ognie. Dorośli mężczyźni, byli czarwonarodziści wchodząc do sali kolumnowej, płakali jak dzieci. Stał się cud: w ciągu tych czterech nocy otworzyła się przed wszystkimi historia. To, co jeszcze niedawno wydawało się niepewną kroniką prasową, stało się od razu granitem — wszyscy zrozumieli, co stworzył Lenin.

Włodzimierz Iljicz był w życiu prostym, demokratycznym, współczującym towarzyszem. On nigdy nie wykpił nawet beczelnego młodzieńszaka... Tego rodzaju prostota cechuje tylko wielkich ludzi. I często myśląc o Leninie stawiałem sobie pytanie: a może kult jednostki jest obcy, a nawet nieprzyjemny dla naprawdę wielkiego człowieka?

Lenin był wielkim i skomplikowanym człowiekiem. W burzliwe lata wojny domowej, po wykonaniu przez I. Dobrowojna sonaty Beethovena, Lenin powiedział do Gorkiego: „Nie znam nic lepszego od Apassionaty. Gotów jestem słuchać jej całymi dniami. Zdumiewająca, nieludzka muzyka. I ja zawsze z dumą — być może naiwną — myślę: oto jakie cuda mogą tworzyć ludzie!”

O DNIACH LENINOWSKICH

mówi mgr MAKSYMILIAN BUDZIWOJSKI
przewodniczący TPP-R w Krakowie

Tegoroczne Dni Leninowskie posiadają szczególny charakter. Zbiegają się z 90 rocznicą urodzin Włodzimierza Lenina, oraz z 15 rocznicą podpisania polsko-radzieckiego układu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy.

— Jaki będą miały przebieg tegoroczne Dni Leninowskie w naszym województwie, Towarzyszu Przewodniczący?

— Trudno byłoby wyliczyć różnorodność form, wielość imprez, inicjatyw, jakimi chcemy uczcić tego roku pamięć Lenina. Na temat planowanych uroczystości tylko w jednej dzielnicy, w jednym powiecie, można by sporo powiedzieć. Już to przekraczałoby ramy krótkiego wywiadu. Dlatego postaram się tylko zamarkować przykładowo niektóre z nich.

— W tegorocznych uroczystościach leninowskich zaangażowane są liczne instytucje i organizacje. Niemal każdy zakład pracy, szczególnie większe zakłady pracy, planują obok uroczystych akademii odczyty, rajdy i inne imprezy. TPP-R w uroczystościach leninowskich współpracuje z wieloma instytucjami i organizacjami społecznymi jak z Kuratorium, Wydziałami Kultury rad narodowych Towarzystwem Wiedzy Powszechnej, domami kultury, klubami MPiK, z Muzeum Lenina, ZMS, ZMW, ZSP, ZHP, LPZ, prasą i radiem, związkami zawodowymi, kółkami rolniczymi, WZGS, komitetami Frontu Jedności Narodu, Centralą Wynajmu Filmów, bibliotekami, SPATiFem, Filharmonią i wieloma innymi.

— Które z planowanych imprez uważacie, Towarzyszu Przewodniczący, za

szczególnie ważne i uroczyste?

— W Teatrze im. Słowackiego uroczysta akademii w dniu urodzin Lenina. Również szczególnie uroczyste będą wieczornice leninowskie w zakładach pracy. W ramach uroczystości Leninowskich odbył się już np. odczyt konsula radzieckiego G. Polakowa w Klubie ZW TPP-R na temat gospodarczych i politycznych osiągnięć Związku Radzieckiego. Dr H. Dobrowolski wygłosi odczyt dla studentów pt. „Polski okres w życiu Lenina”. Odczyt ten zostanie wydany drukiem przez ZW TPP-R. Obok tego wydawnictwa ukazała się „Wspomnienia o Leninie” Bogociego oraz „Spotkania z Leninem” Leszki.

Staramy się uatrakcyjnić tegoroczne Dni Leninowskie nowymi formami dotarcia z ideami Lenina do społeczeństwa. I tak np. krakowski Klub TPP-R w

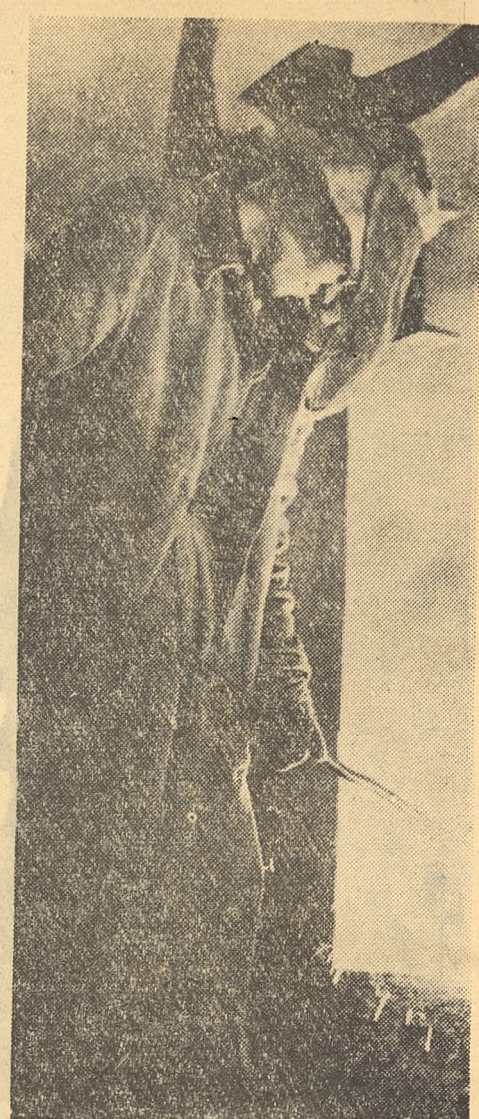
porozumieniu ze szkołami, zorganizuje wieczór pytań i odpowiedzi na tematy leninowskie. Będą nagrody, a w części artystycznej wystąpi młodzież krakowskich szkół artystycznych.

— W Polsce znajduje się wiele pamiątek po Leninie. Czy możecie, Towarzyszu Przewodniczący, poinformować naszych Czytelników o wymianie pamiątek leninowskich między muzeami polskimi i radzieckimi?

— Najkompetentniejszym w tej kwestii byłby dyrektor Muzeum tow. Figa. O ile mi wiadomo, Centralne Muzeum Lenina w Moskwie wymienia fotokopie dokumentów leninowskich z krakowskim muzeum. Muzeum we Lwowie przygotowuje specjalną salę polską, w której eksponowane będą pamiątki leninowskie z okresu pobytu Lenina w Polsce. Młodzież radziecka bardzo interesuje się pobytom Lenina w Polsce.

KRAJ-
OBRAZY

REPORTAŻ

Widok Kombinat im.
Lenina od strony po-
łudniowejMłody hutnik
przy pracy

Już wiosna. Wkrótce zacznie się czas urlopów, odpoczynku, wędrowek. Chcę Wam zaproponować, byśmy wspólnie udali się na wiozącą jedną z najpiękniejszych w Polsce tras — „Szlakiem Orlich Gniazd”, szlakiem starej, tysiącletniej tradycji i nowych przemian.

Gdy przed dziesięciu laty z pędzlem i puszką farby w ręce wyznaczałem trasy szlaku, nie spodziewałem się, że w ciągu tak niewielkiego okresu zajdą ogromne zmiany, że przybędzie wiele nowego piękna.

Piękno naszej ziemi jest przebogate. Nic tak nie sprzyja odkrywaniu go, jak wędrowki po kraju. Gdy się ogląda wciąż nowe krajobrazy, gdy się patrzy na zmiany, jakie w nich zachodzą, nie sposób się oprzeć wielkiej miłości do tej ziemi.

Krajobrazy w województwie krakowskim są szczególnie piękne, zmieniające się. Choćby taka Nowa Huta. Wystrzeliła wśród pół tysiącem domów, kominów, wież, jakbyś okolice Śląska przeniósł nad Wisłę.

Nowe życie wtargnęło do zapadłych miasteczek, do wsi zagubionych wśród lasów. Kiedyś zabity deskami świat, dzisiaj mocny wiatr połamał deski, horyzont rozciągnął dźwigi licznych budow, rozszerzył go na cały kraj.

Życie stało się bogatsze, piękniejsze. Pójdziemy je zobaczyć. Przetniemy Jurę Krakowską od Wisły do Warty. W tym przekroju spotkamy się z nowymi ludźmi i legendami starych zameczek, z krajobrazami przeszłości i młodymi, które się dopiero tworzą. Zatrzymamy się nad hodowlą srebrnych lisów i do mrocznej sali w rekonstruowanej baszcie. Zobaczymy, ile dokonało się rzeczy nowych, ciekawych, nie tylko w krajobrazie, ale także w ludziach.

Czerwony pas na białym tle wymalowany na kamieniach i drzewach, to znak, który wiedzie przez kraj czternastu zamków, niezliczonej ilości grot, pieczar i wąwozów. Cały szlak ma sto kilkadziesiąt kilometrów. Od szlaku głównego odbijają cztery boczne: kosiński, jaskiniowy, pustynny i smoleński. Dają w całości wspaniały obraz Jury Krakowskiej. Trasa wiedzie od malowniczej doliny Prądnika przez pełną jaskiń, dolinę Ojcowa, aż po piaszkowe morze Pustyni Błędowskiej i dziki o upiornych skalach wąwóz Żelazka. Tutaj rozwijało się życie człowieka jaskiniowego. Tutaj w XIII i XIV w. budowano obronne warownie. Tutaj dziś budujemy nowe drogi i osiedla.

Przeszłość to — Wawel i obronny klasztor na Jasnej Górze, teraźniejszość — Huta im. Lenina pod Krakowem i Huta im. Bieruta pod Częstochową.

O rle Gniazda — stare zamki spotyka się co kilka kilometrów — Ojców, Skala, Rabsztyn, Smoleń, Morsko, Mirów, Bobolice, Olsztyn. Wszystkie one górują nad okolicą na stromych urwiskach. Z jednego ruin widnieć następne, jak bieleją na zielonym tle lasów. Niektóre, zachowane zupełnie dobrze, o dawnej świetności innych świadczą tylko samotne wieżycy.

Prócz zamków na trasie znajdują się ciekawe jaskinie, z których dość wymienić Grota Łokietka w Ojcowie, mroczną jaskinię nietoperzową, liczne ślady świadczące o wspaniałej przebogatej historii tych ziem.

Plecak spakowany, a więc — w drogę. Od szlaku na wschód, wśród bielejących, czereśniowych sadów, dźwiga się Huta. Jak rozpostarte skrzydła ogromnego ptaka, wystrzeliły domy nowych dzielnic, całe osiedla nowo zabudowane, ze wschodu na zachód.

Tramwaj wśród pierwszej zieleni pół wygląda jak czerwony żuk: lukiem otacza cały kombinat, aż po najdalszy kraniec zakładów koksowniczych. Panorama jest rozległa, urzekająca, nowym, odmienionym krajobrazem. Położona hala stalowni najeżona kołkami kominów, w dali pomniejszony odległością długi rząd cienkich jak zapalki kominów, pieców węglanych walcowni. Rejon wielkich pieców stanowi zwartą całość z dominującą sylwetką dźwigu inż. Lubińskiego i wyniesionymi wysoko mostami przeładunkowymi. Coraz to nowy szczegół przybywa do panoramy: górująca hala siłowni, dźwigi, konstrukcje, ukończone obiekty.

Wczoraj była tu pustka, niewielkie zagony porznięte miedziami, karłowate wierzy, podmokłe łągi. Krajobraz ubogiej polskiej wsi. Na nadwiślańskich legach trwał bezruch, przerywany tylko klasztorną sygnaturką. Przed trzynastu laty 7 maja 1947 roku, narodził się w radzieckim biurze projektowym „Gipromes” plan budowy Nowej Huty.

Mineły dwa lata. 21 lutego 1949 roku rząd polski podjął uchwałę — nowy, wielki kombinat metalurgiczny, stanie pod Krakowem. Rozpoczęto budowę osiedli. Gazety pisały o sukcesach junaków, o pierwszych rekordach murarskich i kłopotach mieszkańców młodzieżkiego, niecały rok liczącego osiedla. O kombinacie mówiono w czasie przyszłym, wskazując na dalekie pola za Dłubnią — tam będzie stał.

Dzień 26 kwietnia 1950 roku zapisał się w życiorysie najpomienistszej z polskich hut pamiętną datą — bowiem w tym dniu rozpoczęto wykopy pod budowę pierwszych obiektów kombinatu. Na pagory wolno wpęzły buldożery, niewidziane tutaj dotąd maszyny, zębate potwoiry, jak krety worywały się w głąb, śmigły czerpaki koparek, a wzdłuż rowów sunęły pogłębiarki — czarne nosorożce. Żadna budowa w naszym kraju nie widziała takiego skupiska maszyn. Przybywało coraz więcej ludzi.

2 maja 1951 roku liczna już wówczas załoga kombinatu przeżyła niecodzienne wrażenie: oto owacyjnie witany przez budowniczych wjeżdża na teren Huty pierwszy pociąg z maszynami i urządzeniami produkcyjnymi ze Związku Radzieckiego. Już w pół roku później, 15 grudnia wydział konstrukcji stalowych rozpoczyna produkcję.

Każdy następny rok wita wciąż nowe obiekty. Zapłonęły 3 wielkie piece, baterie koksownicze, popłynęła stal z martenów. Wybudowano nowe hale, nowe walcownie, a olbrzym wciąż kroczy naprzód krokami wielkokłuda. Pełna produkcja jednej tylko Huty im. Lenina będzie większa aniżeli produkcja wszystkich 23 hut w Polsce przed wojną.

Okolica ma stare, prasłowiańskie tradycje hutnicze. Tu, przed wiekami stały piece dla owych czasów też pewnie wielkie. Podczas budowy Huty odkryto 55 pieców garmcarskich — dawały one na jeden wypał łącznej produkcji ponad 4.000 naczyń. Dla czasów prehistorycznych cyfra to wcale okazała.

W miejscu dawnych, wyrosły nowe, wysokie piece, dodając nieznanego dotąd piękna krajobrazowi nad Wisłą. Daleki, ledwie słyszalny hejnał mariacki wpłata się w szum agregatów i maszyn. Minione wieki i dzień dzisiejszy, stara kultura i młody, hutniczy trud.

Nowa Huta maleje w dali, zakrył ją biały obłok kwitnących przy drodze kwiatów. My idziemy dalej Szlakiem Orlich Gniazd na spotkanie Przygody.

POSTĘP TECHNICZNY

PRZEDŁUŻONE
RĘCE— UWAGI
GROŹNE
PROMIENIOWANIE!

Gdy Sędziwój, polski alchemik z XVII stulecia, gotował eliksir życia w swej kuchni na Wawelu, usuwał wszystkich z pracowni. Rozumiał, że przypadek może widzów pozbawić życia.

Współczesny alchemik — chemik i fizyk jądrowy — zdaje sobie sprawę z tego, że niewielka ilość promieniowania wysyłanego przez izotopy radioaktywne może spowodować zabójczą często chorobę popromienną.

A przecież ilość izotopów radioaktywnych, używanych we wszystkich dziedzinach nauki i produkcji, nieustannie wzrasta. W Polsce już ponad 200 instytucji i pracowni naukowych stosuje w praktyce izotopy promieniotwórcze. Z zachowaniem wszelkich ostrożności przechowuje się fiołki, ze szczególną uwagą przenosi do pracowni i stosuje do badań.

Najgroźniejsze jednak niebezpieczeństwa czyhają na pracowników naukowych, którzy zajmują się produkcją izotopów w reaktorze jądrowym w Świerku lub pracują w rozdzielni izotopów. Tam promieniowanie zmusza do nieustannego napięcia. Przyjrzyjmy się przez chwilę czynnościom uczonych zatrudnionych w tej pracowni.

ZA ŚCIANĄ
Z OŁOWIANEGO SZKŁA

Pracownia przedzielona jest ścianą z grubych płyt szklanych. W głębi widać stoły i aparaturę niczym niemal nie różniącą się od urządzeń spotykanych w pracowniach politechnik. Nic nie wskazuje, że kolorowe płyny czy białe proszki wypełniające naczynia są niebezpieczne dla człowieka.

Do pracowni wchodzi trzech ludzi w białych kitlach. Każdy ma w kieszeni przyrząd podobny do wiecznego pióra. To liczniki promieniowania. Ślady przy pulpach, ujmują w dłonie uchwyty...

Zapalają się światełka sygnalizacyjne. Uwaga! Rozpoczęła się cykl pracy. Urządzenia powtarzają wiernie ruchy dłoni uczonych. Każdy z nich przedłuża ręce ludzkie, chroni je i całego człowieka przed zabójczym promieniowaniem.

CO TO JEST
MANIPULATOR?

Manipulator kulowy składa się z następujących zasadniczych części: rury łączącej elementy sterujące i wykonują-

ce, pręta przenoszącego ruch zacisków, rękojeści sterującej, tulejki zwalniającej zabezpieczenie uchwytu, dźwigni przekazu, narzędzi różnych rodzajów przeznaczonych do różnych czynności, elastycznego rękawa uszczelniającego, ochronnej kuli z mechanizmem przegubowym czyli przepustnicy, ramy i wreszcie cegieł żeliwnych stanowiących ścianę ochronną. Całość przypomina nieco pistolet maszynowy osadzony w bunkrze ze stalowych płyt.

Wszystkie inne manipulatory różnią się jedynie konstrukcją elementów. Zasada działania i konstrukcji pozostaje taka sama: służyć do przenoszenia ruchów dłoni człowieka na narzędzie, w które zaopatrzone manipulator. Mogą to być klepszcze lub szczypce, pincety lub młoteczki czyli narzędzie do chwytania przedmiotów o średnicy określonej wielkością narzędzia.

KINEMATYKA
MANIPULATORA

Manipulatory posiadają tzw. kinematykę. Nazwa ta określa możliwości ruchu narzędzi, czyli możliwości stosowania manipulatorów.

Manipulatory mogą wykonywać cztery niezależne ruchy lub ich kombinacje, przy czym ilość i rodzaj kombinacji zależy od stanu skomplikowania manipulatora. Tak więc manipulator może naciskać na narzędzia i inne przedmioty znajdujące się w zakresie jego działania, przesuwać je wzdłuż osi o 700 mm, dokonywać obrót dookoła osi o 360 stopni, wreszcie zataczać stożek o kącie wierzchołkowym 60 stopni.

A zatem już prosty manipulator daje możliwość chwytania przedmiotów i przenoszenia ich z miejsca na miejsce, ustawiania ich pod odpowiednimi kątami w stosunku do innych urządzeń. Zaciskanie się szczegół manipulatorów lub ich rozwieranie uzyskuje się niemal zawsze za pomocą urządzeń hydraulicznych lub elektromagnetycznych, rzadziej — za pomocą mięśni rąk człowieka.

W perspektywie techniki ery atomowej widnieją zespoły maszyn posłusznych myślowi człowieka, a nie tylko ruchom jego rąk.

Zaraz, zaraz... Tylko ruchom rąk? Czyż to jest tak mało? Przekonaj się o tym sam: włoś ręce w uchwyt, uczyni ruch palcami, zapal spoza grubiej ściany zapalnik.

A później przez jedną małą chwilę pomyśl, czy „tylko”...

ANDRZEJ CZARSKI

TEST
CZY JESTEŚ
DOBRYM
SĄSIADEM?

Dowiedz się po udzieleniu rzetelnej odpowiedzi na następujące pytania:

- Co robisz najchętniej wieczorem? pkt.
 - Jak zakładasz buty?
 - Jak się witasz?
 - Co irytuje Cię najbardziej?
 - Jaki krajobraz podoba Ci się najbardziej?
 - Czy w młodości
 - Jak jesz jabłko?
 - Jak patrzysz w przyszłość?
 - Jak oceniasz siebie?
 - Jak zawierasz przyjaźń?
 - Jak czytasz „Zdarzenia”?
- | | |
|-------------------------------------|---|
| a) siedzisz w domu bezczynnie | 3 |
| b) wychodzisz, aby coś przeżyć | 1 |
| c) zależy od nastroju | 2 |
| a) starannie, aby się nie niszczyły | 4 |
| b) bardzo szybko | 5 |
| c) to zależy od butów | 6 |
| a) ściskając ręce | 0 |
| b) zdejmując tylko kapełusz | 2 |
| c) lekko się kłaniając | 1 |
| a) zawodowe kłopoty | 2 |
| b) rodzinne troski | 3 |
| c) własne słabości | 1 |
| a) skaliste góry ze szczytami | 4 |
| b) wybrzeże nad bezkresnym morzem | 3 |
| c) faliste pogórze | 2 |
| a) byłeś szczęśliwy | 5 |
| b) raczej smutny | 6 |
| c) średnio zadowolony | 4 |
| a) wbijas ostro zęby | 0 |
| b) krajesz je naprzód na kawałki | 1 |
| c) nie lubisz jabłek | 2 |
| a) pełen ufności | 3 |
| b) dość pesymistycznie | 5 |
| c) sądzisz, że nic się nie zmieni | 4 |
| a) jesteś człowiekiem woli | 2 |
| b) jesteś dobrodusznym | 1 |
| c) jesteś typem pośrednim | 3 |
| a) spontanicznie | 2 |
| b) po namyśle | 1 |
| c) w zależności od osoby | 0 |
| a) strona po stronie | 2 |
| b) szukasz czegoś określonego | 4 |

KRAKOWSKI DENTYSTA — KONFIDENTEM GESTAPO

Przygotowania

Ponury deszczowy dzień, jeden z tych dni, w których nawet psa wygonić — szkoda... Jest jesień w pełni, pierwsze dni października.

Przygotowuję grupę pięciu ludzi, w tym jedną dzielna dziewczyna „Kozaczek”. Ona wypenetrowała tryb życia znanego wówczas denty- sty krakowskiego, Pietronia. Dziś, na mocy wyroku Sądu Podziemnego Polski, ma on być zlikwidowany przez grupę dywersyjno-egzekucyj- ną. Akcja nie jest łatwa. Już dwa razy usiłowały inne grupy dywer- syjne wykonać wyrok na donosicie- lu.

Wiadomo, że na złodzieju czapka gore, tym bardziej na konfidente- gestapo. Toteż strzeże się przed za- machami. Wykonanie zadania u- trudniają alarmowe dzwonki, o- kienko wychodzące z gabinetu przy- jęc na klatkę schodową. Umożliwia ono Pietroniowi obserwację każde- go jeszcze nieznanego pacjenta. Za- niepokojony, może umknąć drzwia- mi łączącymi gabinet z mieszka- niem.

Ostatnie chwile przed wyrusze- niem na akcję. Każdy sprawdza, czy pistolet gotowy do strzału, czy na- bój tkwi w lufie. Przecież jest to rok 1944. Na ulicach miasta bardzo gęste patrole hitlerowskie nie tylko legitymują, ale i przeprowadzają rewizje osobiste. A więc już dojsie na odległe miejsce akcji stwarza poważne niebezpieczeństwo.

W drodze na akcję

Idziemy dwójkami. Tym sposo- bem jedni ubezpieczają drugich. Po

drodze mijamy dwa patrole szkopów, niemal ocierając się o nich, trzeci — miją nas po drugiej stronie ulicy. Dochodzimy do ulicy Karmelickiej, gdzie pod Ermitażem wzmocniony patrol rewiduje przechodniów trzy- mając ich z rękami podniesionymi do góry. Mój towarzysz nie wytrzy- muje nerwowo tego widoku i skrę- ca w planty. Wracam do niego, us- pokajam i bez wstrząsów dochodzimy do bramy kamienicy przy ul. Karmelickiej, w której przeprowa- dzić mamy likwidację agenta ge- stapo.

W dentystycznym gabinecie

Kozaczek i Ren wchodzą do po- czekalni, zajmują miejsca jako pa- cjenci, Pik i Sardynka pozostają w bramie na obstawie.

Ja z Orszą wchodzimy przez po- czekalnię do gabinetu, w przejściu Kozaczek skinięciem głowy daje znać, że wszystko w porządku.

W gabinecie na fotelu dentystycz- nym siedzi pacjent, wokół którego krzątają się dwie laborantki. W głę- bi pokoju za biurkiem siedzi cel na- szej wizyty.

Podchodzę, hełluję. Pietróż wstaje, podnosi rękę w górę, odpowiadając tym samym pozdrowieniem. Pyta po niemiecku o cel naszej wizyty. Oświadczam, że jestem z policji nie- mieckiej i, dla udokumentowania moich słów pokazuję oryginalną le- gitymację. Pietróż jest spokojny, policji niemieckiej nie obawia się. Chowając legitymację lawiruję tak, ażeby znaleźć się pomiędzy nim a biurkiem, gdzie tkwi przycisk dzwonka alarmowego. Udaje mi

się. Błyskawicznie wyciągam pisto- let ze słowami: Hände hoch! Po- słusznie podnosi ręce. Na jego twa- rzy maluje się zdziwienie, nie spo- dziewał się takiego potraktowania przez policję niemiecką.

W tym momencie Ren wszedł do gabinetu. Pod jego opieką pozosta- wiłem Pietronia pod ścianą, a sam zająłem się wrzeszczącym na fotelu Niemcem: „Ich bin auch von der Polizei”. Parę tegich klapsów w tłustą głowę uspokoiło szkopa.

Wkrótce pojawił się Pik wraz ze służącą Pietronia. Złapał ją w bram- ie, gdy po zbiegnięciu kuchennymi schodami usiłowała wyjść na ulicę, by zaalarmować patrole. Pikowi po- lecam skontrolować przyległe mie- szkanie. Do poczekalni ściągam je- szcze „Sardynkę”. Wspólnie z Ko- zaczkiem terroryzujemy czekających pacjentów, wreszcie z trudem zamy- kamy w łazience pokazną (około 15 osób) ilość ludzi. Lewiduję uspokoi- jonego przeze mnie poprzednio Niemca. Siedzi jak trusia na fotelu, tylko ze związanymi już rękami. Nie znajduję broni ani przy nim ani w jego płaszczu. Legitymacja jego stwierdza, że jest urzędnikiem (Be- amter). Oprócz szkopa w gabinecie są jeszcze dwie pracownice. Orsza wiąże im symbolicznie nogi.

Wyrok

Wyrok na Pietroniu wykonujemy w przyległym do jego gabinetu po- koju.

Karząca ręka Polski Podziemnej tym razem dosięga zdrajcę. Z orga- nizmu społeczeństwa polskiego zo- stał usunięty jeden z tych, który dostarczał „surowca” Trzeciej Rze- szy...

Do bazy wróciliśmy szczęśliwie. Na drugi dzień otrzymuję szoku- jącą wiadomość. Okazało się, że Niemiec, który dostał ode mnie po- gębę, to nie kto inny tylko sam Hamann, były szef gestapo z Nowe- go Sącza. Tak wymknął mi się z rak ten kat ludności polskiej, ale skąd mogłem przypuszczać, że Ha- mann chodzi na lewych papierach, w cywilu, z niewinna legitymacją i bez broni. Nie ma jednak z niego, co by na dobre nie wyszło.

Aresztowanie Kruka

Po paru dniach wpadł w ręce ge- stapo żołnierz z naszej dywersji — Kruk. Aresztowano go w mieszka- niu przy placu Kleparskim, gdzie gestapo znalazło pistolet, a przy nim rozkaz podpisany przeze mnie.

Gestapo dobrze znało mój pseudo- nim. Po każdej akcji zostawiałem swoją wizytówkę. Toteż zdawałem sobie sprawę z tego, jak będą znę- cać się nad Krukiem, aby wydobyć z niego jakieś informacje. Dlatego niesłychanie mnie zaskoczyło, gdy w dwa dni po aresztowaniu Kruka spotkałem go na ulicach Krakowa. Przeszliśmy koło siebie jak niezna- jomi. Zorientowałem się, że tym ra- zem hitlerowcy zastosowali inną metodę, mianowicie, by Kruk cho- dząc po mieście wskazywał obser- wującym go gestapowcom towarzy- szy z dywersji. Kruka byłem pewny, że nie spynie.

Na drugi dzień w sile dwóch pa- troli wyszedłem na ulice miasta, ce- lem odbicia Kruka, lecz już nie spotkaliśmy go. Natomiast sam

Kruk zgłosił się w parę dni później na punkt kontaktowy. Tu zameldo- wał mi, że gestapo zobowiązało go do wydania mnie. W razie ucieczki Kruka lub odmowy wykonania za- dania mieli paść ofiarą jego starzy rodzice.

Sytuacja była ciężka. Jasne było, że Kruk musi zniknąć z Krakowa i to jak najprędzej. A co stanie się wówczas z jego rodzicami? Znałem szkopów i zdawałem sobie z tego sprawę, że rozstrzelają staruszków. Nie miałem złudzeń.

Podstęp

Wówczas wpadłem na pomysł: wysłałem do gestapo list tej treści: „Zawładamiam, że żołnierz mojej dywersji Antoni K... pseudonim Kruk, został w dniu dzisiejszym rozstrzelany, ponieważ zobowiązał się wydać mnie, jako dowódcę dy- wersji. (—) Halszka”.

Podstęp udał się. Kruk przeżył końcowe dni okupacji w terenie, a gestapo nie tknęło jego rodziców, polegając na „prawdziwości” mojej informacji.

Jak dowiedzieliśmy się potem, Kruk zawdzięczał swoje zwolnienie Hamannowi, który pamiętając nie- dawne spotkanie ze mną u Pietro- nia, chciał mnie dostać za wszelką cenę w swoje łapy. Mnie zaś pozos- tała satysfakcja, że w czasie strasz- liwego terroru i gwałtu stosowanego przez „nadludzi”, — szef gestapo, kat i morderca ludności polskiej, brał w pysk od bojowca Polski Pod- ziemnej.

Jan Kowalkowski

- c) zaczynasz zawsze od końca 3
12 O czym śnisz najczę- ściej?
a) o miłych przeżyciach 1
b) o strasznych rzeczach 0
c) nie pamiętasz snów 2



20, 22, 27, 36 punktów: Ja- ko sąsiad jesteś dziwkami. Raz ponuro-poważny, raz we- soło-pogodny. Ale wszyscy wiedzą, że to maska. Nie dziw się, jeśli poproszą cię w zimie. abyś bawił dzieci jako Dziadek-Mróż.

18, 24, 32, 37, 41 punktów: Jesteś spokojną naturą. Zad- ne hałasy czy awantury nie są w stanie Cię zdenerwować. Unikasz kłótni, oszczędzając siły dla pracy zawodowej. Nawet na randkę nie zawsze masz czas.



23, 28, 33, 38, 42 punkty: Można się w Tobie szybko za- kochać. Wytwarzasz w okół siebie atmosferę pikantną, działającą na sąsiadki nawet przez ściany. Strzeż się głupstw, które staną na Twej drodze.

21, 26, 30, 35, 40 punktów: Sąsiedzi mają z Tobą trudne życie. Jesteś nie łatwy do roz- poznania i nikt nie wie, jak z Tobą postępować. Mimo woli przesadzasz w swej rezerwie. Gdybyś był bardziej bezpo- średni, cieszyłbyś się większą sympatią.



19, 25, 29, 34, 39 punktów: Jako sąsiad nie istniejesz, ponieważ nie interesuje Ciebie Twoje otoczenie. Jedni uwa- żają Ciebie za zarozumiałego, drudzy sądzą, że rozczarow- ańia zrobili z Ciebie dziwaka i samotnika. Cieszysz się jed- nak poważaniem, gdyż nikt nic nie może Ci zarzucić.



oprac. J. MACHLOWSKI



Prototypowa seria płyt grzewczych. Te właśnie pły- ty umieszcza się pod sufitem.

Prasa i radio doniosły ostatnio o nowym polskim osiągnięciu technicz- nym z dziedziny ogrzewnictwa, dokonanym przez prof. Tadeusza Chłipa- lskiego, kierownika Zakładu Badań Ogrzewnictwa Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Ponieważ doniesienia te wywołały szerokie zainteresowanie w kraju, redakcja „Zdarzeń” zwróciła się do prof. Chłipalskiego z prośbą o udzielenie wywiadu.

— Na czym polega zasada działania płyt grzewczych pomysłu Pana Pro- fesora?

— Element grzejny w tradycyjnym wykonaniu jest elementem obcym, wyodrębnionym z otoczenia, jak np. piec kaflowy, grzejnik centralnego ogrzewania i, działa głównie przez ogrzewanie powietrza przepływającego wzdłuż niego. Urządzenie takie jest oczywiście dalekie od ideału i posiada wiele wad. Zaczęto więc poszukiwać nowych, lepszych rozwiązań technicz- nych. Już z początkiem XX wieku powstały w niektórych krajach inne metody ogrzewania wnętrz. Konkretnie mówiąc, tzw. ogrzewanie sufitowe lub podłogowe, którego działanie opiera się na wtopieniu węzownicy ru- rowej w płytę betonową. Przez węzownicę przepływa gorąca woda. Jak wykazały doświadczenia, ten system jest jednak dość kosztowny oraz ma- ło wydajny z metra kwadratowego. Ponadto, w nowocześniejszym budownic- twie przy wysokości pomieszczeń 2,5—2,7 m, odległość tej gorącej po- wierzchni od głowy człowieka wynosi ok. 0,8—1 m, co zmusza do stoso- wania bardzo niskich temperatur powierzchniowych sufitu lub podłogi.

Sytuacja zmienia się radykalnie, gdy płyce betonowej nadamy inne usy- tuowanie w pokoju. Np. wprawimy ją w formie wąskiego paska, w ścianę pod sufitem. Takie rozwiązanie opracowane w Zakładzie Badań Ogrzew- nictwa Politechniki Śląskiej, posiada dwie zasadnicze zalety: możliwość włą- czenia tego elementu grzejnego w konstrukcję domu, oraz stosowanie wy- sokich temperatur powierzchniowych płyty.

— A więc, jak wygląda element grzejny w wersji Pana Profesora?

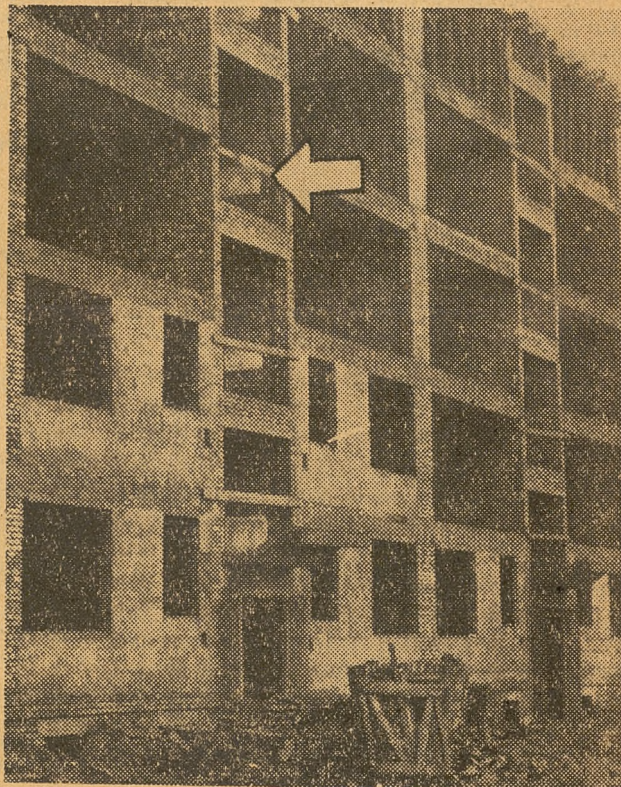
— Element taki przedstawia wąska płyta betonowa, szerokości 40—50 cm, grubości ok. 5 cm i długości 4—6 m z wprawioną węzownicą z rur sta- łowych. Przez rury przepływa woda o temperaturze ok. 100°C.

— Czy nowy system ogrzewania został już wypróbowany w praktyce?

— Owszem. Jeszcze przed rokiem wybudowano w Krakowie małą sta- cję próbną w domu przy ul. Jaracza. Przeprowadzono tam wówczas od- powiednie obserwacje i pomiary, przy czym po uzyskaniu pozytywnych wyników zdecydowano się na zastosowanie podsufitowych płyt grzew- czych w większej skali. Mianowicie, w budującym się właśnie bloku miesz- kalnym w Czyżynach k. Nowej Huty.

PIECE POD SUFITEM

WYNALEZKI



Tu nie będzie ani pieców ani kaloryferów. Blok mieszkalny w Czyżynach, w którym zastosowano płyty grzewcze pomysłu prof. T. Chłipalskiego. (Strzał- ka wskazuje na umiejscowienie jednej z płyt).

— Zanim zwiedzimy wspomniany obiekt, może zechciałby Pan Profe- sor poinformować nas o spodziewanych zaletach nowej metody ogrzewa- nia?

— Na pierwszym miejscu wymienić należy wysoką oszczędność żelaza, wynoszącą do 85 proc. w stosunku do tradycyjnych żeliwnych grzejników c. o. Dalszą cechą dodatnią stanowi możliwość prefabrykowania gotowych elementów grzewczych, montowanych następnie w cyklu budowy samego budynku. Skracca to wydatnie okres robót wykończeniowych, instalacyj- nych i całego budynku. W ten sposób główny punkt ciężkości kosztów robocizny na budowie przesuwa się na przemysłowe wykonawstwo pre- fabrykatów. A więc znów obniżka jego kosztów. Poza tym, nowy system ogrzewania pozwala na stosowanie wysokich temperatur i ciśnień czynni- ka grzejnego, konkretnie — wody w budynku, z wyeliminowaniem koszt- ownych i kłopotliwych w użyciu wymienników ciepła, pomp mieszających lub hydroelewatorów. Dalszymi korzyściami są: swoboda architektonicz- nego projektowania wnętrz, (kaloryfer czy piec często komplikują usta- wienie mebli w pokoju) podniesiony komfort cieplny człowieka przez ko- rzystniejsze warunki higieniczne (brak kurzu w obiegu) i, wreszcie — zmniejszenie kosztów instalacji.

Zwiedzenie bloku mieszkalnego w Czyżynach, w których zainstalowane będzie urządzenie grzewcze nowego typu, umożliwił nam mgr inż. Sta- nisław Vinohradnik z Krakowskiego Zarządu Budownictwa. Należy z wiel- kim uznaniem podkreślić, że właśnie KZB, przy poparciu Zarządu Techni- ki Min. Budownictwa i Przem. Mat. Budowlanych, wystąpił z inicjatywą i zapewnił odpowiednie środki materialne z funduszu postępu technicznego w realizacji projektu prof. Chłipalskiego. Serię prototypową płyt grzew- czych wykonały Zakłady Prefabrykacji PBM — Nowa Huta w Bieńczycach.

Niestety dzień, w którym zwiedzamy nowy blok w Czyżynach i Zakłady Prefabrykacji, jest chmurny i deszczowy. Wprawdzie kierownictwo Bu- dowy jest raczej z tego faktu zadowolone, gdyż zaprawa lepiej wiąże, ale naszym zadaniem jest przecież wykonanie ciekawych zdjęć. Z opresji ra- tuje nas dopiero „flash” fotoreportera.

We wrześniu br., gdy blok będzie gotowy i pierwsi lokatorzy zapełnią mieszkania, na pewno jeszcze ich odwiedzimy.

Rozmawiał:

JERZY KWIETNIEWSKI

O KULTURZE KRAKOWA MÓWIĄ TWÓRCY, TEATROLODZY LITERACI, PLASTYCY, DZIAŁACZE KULTURALNI DYREKTORZY TEATRÓW

Nasi rozmówcy odpowiadali na pięć pytań:

1. Jakie miejsce, pańskim zdaniem, zajmuje teatr w życiu współczesnego odbiorcy kultury? Czy zasadnicze?
2. Czy dla krakowskiego środowiska twórczego tradycyjne środki oddziaływania kulturalnego (teatr, filharmonia) stanowią wystarczającą bazę?
3. Teatry są deficytowe. Nakłady finansowe są wysokie. W jakiej proporcji, zdaniem Pani (Pana), stoją te nakłady w stosunku do wyników pracy teatrów w dziedzinie upowszechniania kultury?
4. Czy Kraków jest jeszcze kulturalną stolicą Polski?
5. Do teatrów chodzi niewielki procent mieszkańców naszego miasta. Jak dotrzeć do pozostałych? Co robić?

TELEWIZJA, KINO, TEATR I CO JESZCZE?

Prezes Krakowskiego Oddziału
Związku Literatów Polskich,
STEFAN OTWINOWSKI:

W Krakowie teatr zajmuje na pewno 1. miejsce zasadnicze. Ale jest tak między innymi dlatego, że Kraków jest upośledzony z powodu braku innych placówek kulturalnych. To jest dobrze i źle. Dobrze na pewno dla samych teatrów (czasowy brak konkurencji telewizji, uznanej za wroga nr 1 teatru).

2. Czy Teatr i filharmonia stanowią wystarczającą bazę? Nie. Od lat walczymy o stworzenie ośrodka telewizyjnego w Krakowie. Pisarze krakowscy nawet ze względów czysto zawodowych są zainteresowani powstaniem telewizji w naszym mieście. Praktycznie pisarz krakowski jest pozbawiony obecnie możliwości jakiegokolwiek oddziaływania na społeczeństwo naszego miasta. Prawdę mówiąc pisarz krakowski z krakowskim teatrem nie ma żadnego kontaktu. Podobnie ze sprawą opery. Uważam wybudowanie budynku opery, za absolutnie konieczne. Gmach opery stwarza bazę dla rozwoju życia muzycznego, baletu (zupełny brak w Krakowie!), stwarza bazę szkoleniową, bez której nie może być mowy o dobrej operze, operetce, balecie.

3. Pytanie o deficycie Teatrów jest drażniące i niesłychanie trudne. Aby na nie odpowiedzieć trzeba by znać dokładnie stronę finansową działalności teatrów. Nie czuję się powołany do odpowiedzi na to pytanie.

4. Czy Kraków jest stolicą kulturalną Polski — jeszcze? Nie. Naszemu miastu, aby odgrywać jakąś zasadniczą rolę w ogólnopolskiej kulturze brak zasadniczych ośrodków: telewizji, filmu, opery, baletu. Reprezentowane są właściwie tylko trzy środowiska: teatr, literatura i plastyka. To ma charakter zachowawczy. Cała awangarda kultury oparta o nowoczesne środki „produkcji” jest poza Krakowem.

5. Dawniej Kraków zamykał się w obręb siebie. Dziś krakowskie przedmieścia oczekują, aby wyjść im naprzeciw. Jak tam trafić? — Za najważniejszą uważam formę stałych kontaktów ludzi kultury poprzez dobre pogadanki, spotkania, odczyty. Ludzi z przedmieść trzeba ośmielić i zachęcić. Dobrze postawiony temat, interesujący, współczesny, z dobrym prelegentem może wreszcie liczyć na dobre przyjęcie. Przedmieście, jeżeli traktować je poważnie i serio, jest bardzo wdzięcznym terenem dla tych spotkań.

Mówi przedstawiciel krakowskich
scenografów, znany malarz
TADEUSZ KANTOR:

— Nie będę złośliwym twierdząc, że wrastające obecnie zainteresowanie teatrem, a raczej zachodzący w nim procesami spowodowane jest głównie objawami wtórnymi, tzn. malejącą frekwencją i wzrastającą deficytowością teatrów. Nie lekceważąc tego alarmu mam lekkie obawy, że dyskusja na tym podłożu może stać się błędnym kołem, z którego wycofają się ci, którzy teatr tworzą: dramaturdzy, realizatorzy i teoretycy, a walka o nowy teatr zamieni się w zwyczajne manewry. Wspomniane wyżej zjawiska nie mogą być istotnym powodem dyskusji nad teatrem naszych czasów, w którego możliwość istnienia nie wątpię.

Nie jest groźnym objaw deficytowości instytucji teatralnej. O wiele groźniejsza dla

teatru jest kruchość istotnej tkanki teatru — dramaturgii, która by potrafiła formować oblicze człowieka XX wieku; o wiele bardziej niepokojący jest brak dyskusji nad formą nowego teatru.

Chciałbym poza tym przeprosić, że nie odpowiadam na postawione pytania po kolei i sprostować mylne sformułowanie ankiety: teatr nie „upowszechnia” kultury, teatr jest kultura.

Mówi dyrektor Teatru Ludowego
w Nowej Hucie,
KRYSTYNA SKUSZANKA

(przy rozmowie obecny jest reżyser
Teatru —
JERZY KRASOWSKI):

1. W krajach cywilizowanych krąg odbiorców teatralnych w przyszłości nie ma tendencji do poszerzania się, raczej stabilizuje się do tych, którzy w teatrze szukają czegoś innego, niż może im zaproponować inny rodzaj sztuki. Inne wartości posiada teatr inne telewizja, czy film. Oczywiście film czy telewizja z natury rzeczy są popularniejsze, docierają do szerszych warstw odbiorców. W związku z tym na teatr spadają szczególne obowiązki. Teatr musi być sztuką odrębną, daje możliwości innych przeżyć i wzruszeń i z tego przywileju musi umieć korzystać.

Reżyser KRASOWSKI dorzuca: jeśli ktoś uważa, że teatr jest niepotrzebny, niech sobie wyobrazi, że teatrów nie ma! O ileż uboższy, niemal martwy byłby nasz świat!

Nasz teatr w Nowej Hucie ma szczególne zadania w walce o nowego widza. Wpływa na to wyjątkowość środowiska. Często mamy naprawdę zupełnie dziewiczych widzów.

2. Dla mnie osobiście baza teatralna w zupełności wystarcza. Na nic innego nie mamy czasu. Niezależnie od tego uważam, że jest grubym nieporozumieniem, że tak bogate środowisko jak Kraków nie ma studio telewizyjnego.

3. Pojęcie deficytowości teatrów jest nieporozumieniem. U nas mecenasem kultury jest państwo. Nie rozumiem, jeśli się dopłaca do knajp. W stosunku do teatru, do kultury nie rozumiem wątpliwości. W Związku Radzieckim wprowadzono bardzo ciekawą nowość: aktorzy, ludzie teatru są pracownikami państwowymi i państwo wypłaca im pensję. Teatru nie obciąża fundusz plac. Przykładowo u nas, w Teatrze Ludowym dopłata państwa wynosi akurat tyle, ile fundusz plac. Wszelkie inne wydatki pokrywane są z zarobionych przez teatr pieniędzy.

Zresztą — dorzuca Krasowski — nie teatry są deficytowe tylko nasza mądra, słuszną i jedyną polityką upowszechniania kultury z góry zakłada, niższe od rzeczywistości kształtujących się, ceny biletów, aby większość obywateli mogła z nich korzystać.

4. Zabytki i tradycje nawet najlepiej konserwowane nie wyczerpują pojęcia stolicy kulturalnej. Chodzi o prężność środowiska artystycznego i jego propozycje twórcze. Jeśli proces emigracji z Krakowa nie zostanie powstrzymany, bądźniemy mogli wskazać w najbliższym czasie następną z kolei stolicę kulturalną Polski.

5. Jak popularyzować Teatr? Teoretycznie nie wiem. Praktycznie wiem, że prosty system kolportażu biletów na terenie Kombinatu daje znakomite rezultaty. Stary, dobry pracownik zakładu jest najlepszym kolporterem.

Pisarz **TADEUSZ HOŁUJ**,
członek Miejskiej Komisji Kultury:

1. Trzymajmy się stosunków i warunków polskich. Otóż u nas sprawa teatru stoi po prostu źle. Tego, co wiemy kulturą teatralną, zawsze u nas znikomą zresztą, nie udało się pogłębić, ani naprawdę upowszechnić. Wspaniałą okazję okresu 1945—48, kiedy istniało naturalne zapotrzebowanie masowe na teatr, zaprzepaściliśmy. Teatr stał się, niestety z powrotem sprawą określonych warstw miasta. Telewizja, radio i film nie wypierają go znikąd, sięgają bowiem tam, gdzie go nie było; gdzie go nie ma. Jeżeli zajmuje gdzieś poczesne miejsce, to głównie w periodykach literackich.

2. Teatry nie zapewniają krakowskiemu środowisku literackiemu dostatecznych możliwości twórczych. To jest błędne koło: teatry narzekają, że nie ma współczesnej polskiej sztuki, pisarze zaś twierdzą, że nie będzie jej, jeśli teatry nie będą prezentować publiczności takiego dorobku, jaki istnieje. Kraków odsunął od sieci usługowej nowoczesnych środków prezentowania twórczości (brak telewizji, wazutki odcinek radia krakowskiego itp.) stanowi chyba jaskrawy przykład niewykorzystanych możliwości.

3. To, że teatry są deficytowe, jeszcze pół biedy, cała bieda mieści się w pytaniu, w jaki sposób umniejszają czy powiększają deficyt kulturowy. Zagadnienie jest o wiele szersze i bynajmniej nie tylko krakowskie. W każdym razie na dłuższą metę zasada, że musi się dopłacać za wszystko, co chce dany teatr pokazać, nie jest do utrzymania, chociaż ta „zasada” utarła się w praktyce.

4. Zawracanie głowy z tą stolicą kulturalną. Jest duża, stara wyspa kulturalna, nie stolicą!

5. Zagadnienie „kto chodzi do teatru” jest nierozłączne z zagadnieniem „dla kogo teatr gra”. Wydaje się, że po pierwsze: istnienie bliźniaczo podobnych scen przy braku innych ogranicza zasięg teatrów, po drugie: lokalizacja tychże jest fatalna, po trzecie: niesłuszne jest zaniechanie aktywnych form organizowania widzów.

Teatrolog, profesor dr
JÓZEF DOBROWOLSKI:

1. W kulturze nieamerykańskiej znaczenie teatru wzrasta. Ale mimo to, dopóki teatr nie uzyska sceny przenośnej, jak cyrk nie osiągnie powszechności.

2. Pierwsze zamilowanie do teatru u ludzi, którzy go dotąd nie chcieli oglądać budzi stały teatr amatorski, w którym grają jego krewni, znajomi. Podobnie z orkiestrą, chórem itd. Dopiero rozbudowa stałej sieci amatorskiej, możliwe gastej zrodzi nowe potrzeby kulturalne szerszych mas.

3. Repertuar teatrów nie jest praktycznie konsultowany z odbiorcą, przez to wyniki upowszechnienia nie stoją w żadnej proporcji do nakładów.

4. Polska nie ma stolicy kulturalnej, gdyby taka powstała, mógłby nią być, pod warunkiem szeregu zmian personalnych, Kraków.

Znany recenzent teatralny, dr
TADEUSZ KUDLIŃSKI:

1. Frekwencja w teatrach nie wskazuje, by teatr się przeżył. Sądzę, że zajmuje wciąż miejsce zasadnicze w kulturze. Konkurencja radia, filmu czy telewizji przez ich szeroka

komunikatywność jest oczywista. Jednak to namiastka teatru żywego i nie zastąpi kontaktu widza z żywym aktorem. Nie jestem ani prorokiem ani jasnowidzem, ale jasne jest dla mnie, że kto zrezygnuje z teatru — sam się zuboży. Jego rzecz! Sam wie, że teatr jest sprawą najbardziej ludzką i niezniszczalną.

2. W różnorodnej specyfice teatralnego Krakowa widać artystyczne kierunki zarówno tradycyjne jak postępowe. Powiedzmy — Teatr Słowackiego i Teatr 38. Możliwość wyżycia się jest więc obszerna, wachlarz szeroki. Nie uważam, by eliminowanie jednego czy drugiego bieguna było możliwe. Rzeczywistość układa się dialektycznie. Awangarda to nie monopol ani cieplarnia. Trzeba płacić cenę ryzyka, czasem się poparzyć. Dopiero bąble ucza! Gorzej jest z autorami dramatycznymi. Ci nie mają gdzie grzeszyć.

3. Dopłata do teatrów? — Nieporozumienie. Zapytajmy o wysokość kosztów utrzymania młodszych muz: filmu, telewizji. Ale co tam niech mają. Wreszcie porównajmy proporcję wydatków na sport wycieczkowy! Czy ten beniaminek dźwiga kulturę choćby fizyczną?

— Chciał! Więc nie rozdierajmy szat.

Nie znam stosunku ogólnych nakładów teatralnych do wartości upowszechniania. To osobne zagadnienie, zdaje się nie wyodrębnione w polityce finansowej. Myślę, że o środki na upowszechnianie winny się troskać organizacje społeczne i zawodowe.

4. Kraków — stolicą kulturalną? Na pewno nie. Jednak pozycja jego jest, o wiele mocniejsza niż w dwudziestolecie. Gdyby trochę więcej ikry! Warszawiacy powiadają złośliwie, że Kraków jest cudownym miastem, tylko krakowiaczy — nie. Któż zaprzeczy?

5. Jeśli niewielki procent mieszkańców Krakowa odwiedza teatry, to ich wina. A może za mało jest teatrów, bo przeciętna frekwencja nie jest bynajmniej słaba? Namawiać ludzi do teatru czy przymuszać, to stracone zachody miłosne. Nie uważamy społeczeństwa za przedszkole. Pytacie co robić? Jak najlepiej grać i mądrze gadać o teatrze!

Głos ma przewodniczący Komisji
Kultury, poseł, dr
BOLESŁAW DROBNER:

2. Na tradycyjne środki oddziaływania kulturalnego składają się poza teatrem zawodowym takie teatry jak Kolejarza, Estrady, amatorskie, filharmonia, chóry i orkiestry amatorskie, wystawy plastyków, opera, operetka, kina z dobrymi filmami, odczyty najprzeróżniejszego autoramentu, prasa literacka i artystyczna, akademie, wszelkie, domy kultury itd. itd. Wszystko razem składa się na całokształt życia kulturalnego.

3. Teatry były i są zawsze deficytowe. 3. Wspomnę o tym, że w czasach sanacyjnych, w ostatnich latach przed wojną deficyt Teatru im. Słowackiego wynosił rocznie 360.000 złotych, a więc dziennie tysiąc złotych — dodajmy: jakich złotych... Nie martwimy się z tego powodu, bo myślimy, jakby wyglądało tzw. upowszechnienie kultury bez teatrów. Państwo nasze, to znaczy my wszyscy nie martwimy się z powodu „deficytowych” bibliotek publicznych, deficytowych koncertów, deficytowych wystaw. Gdybyśmy nie dokładali do tych wszystkich sposobów upowszechniania kultury, jakżebyśmy mogli żyć? Sztuka polega na tym, by oszczędnie gospodarować, nie koncentrować wydatków i deficytów na rzecz „górnych” dziesięciu tysięcy, jak to miało miejsce przed wojną. W kapitalistycznych stosunkach, a czynić tak, by z tej „kultury” korzystały te warstwy ludności, które dawniej nie partycypowały w korzyściach kulturalnych.

4. Kraków był zawsze stolicą kulturalną Polski, tak w czasach, gdy w Warszawie za czasów zaborczych czy w Poznaniu w okresie rządów pruskich marzyć nie można było o „dosycie kulturalnym” nie z winy Warszawy czy Poznania, i tak długo będzie stolicą kulturalną Polski, jak długo będzie Wawel, Muzeum Narodowe, Wszechnica Jagiellońska, Biblioteka Jagiellońska, kościoły zabytkowe czy Stara Bóżnica, Skalka na Skale, Pan Twardowski w Grocie, Lajkonik, Wianki, Akademia Sztuk Pięknych, która kiedyś była jedyną, Barbakan nie fabrykowany, Jama Michałka, Smocza Jama, baza dla „Romansu z wodewilu”, nadbudowa „Centusiuw”, św. Salomea od Franciszkanów, i czego jeszcze chcecie ode mnie Warszawiści?

5. Jak dotrzeć do tych ludzi, którzy do teatru nie chodzą? Problem ten jest trudny. Przed 10 dniami omawialiśmy ten problem na Sejmowej Komisji Kultury i Sztuki. Powiedziałem, że wielu ludzi stroni od teatru, bo nie rozumieją sztuki. Proponowałem już przed laty wygłaszanie przed przedstawieniami prelekcji, w których omawia się treść sztuki w poszczególnych aktach, omawia okres w jakim trwa akcja, zwraca się uwagę na poszczególne akcenty. Kto występuje przeciw tym prelekcjom? Tylko snoby, którym „nie wypada” słuchać „pouczeń”, tylko udajemy że wszystko rozumiemy. Tak zwani „besserwisserzy” nie lubią nauki. A masy niewdrożonych w arkana sztuki teatralnej chętniej chodziłyby do teatru, jeśli by miały wyjaśnienia, jakie dają kina. Propaganda w sprawach teatru to profilaktyka w kulturze i sztuce.



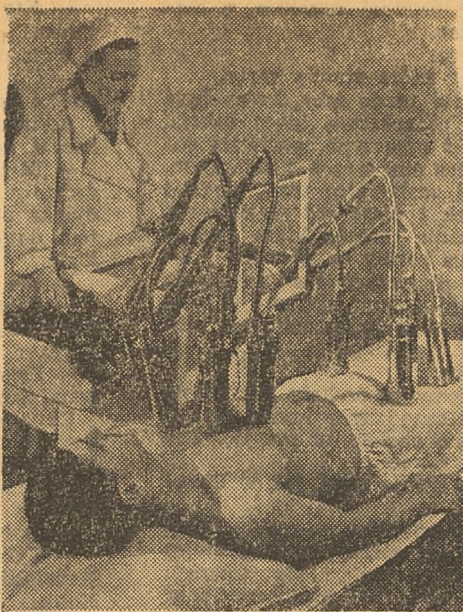
1000 I SZARY CZŁOWIEK

Zadałem kilkunastu swoim bliższym i dalszym znajomym pytanie, które wydawało mi się aktualne w związku z rozpoczętymi niedawno obchodami Tysiąclecia Polski: co Was interesuje w naszej historii, czego chcielibyście się dowiedzieć. Oczywiście ta moja prywatna ankieta nie rości sobie większych pretensji do głębszego wysondowania opinii publicznej. Ale zawsze jest jakimś drobnym tej opinii wyrazem, zwłaszcza że pytałem ludzi różnego wieku i zawodów. A więc inżynierów i robotników tzw. gospodynie domowe i adwokatów, ekspedientów i dziennikarzy. Byłem ciekaw, czy ich te sprawy w ogóle interesują. Tylko nieliczni wrzuszali ramionami i odpowiadali, że są zagonieni interesami zawodowymi i domowymi. Większość z ożywieniem wyluszczała swoje poglądy. Wielu wyrażało w mocnych słowach pretensje pod adresem szeregu instytucji kulturalnych i twórców za dotychczasowe zaniedbania: „Dziwi mnie bardzo, dlaczego ukazuje się tyle interesujących książek o życiu znanych osobistości zagranicznych. Przeważnie tłumaczenia. A o naszych luminarzach niezwykle mało. „Tak jest. Ludzie bardzo lubią literaturę pamiętnikarską (tej jest stosunkowo sporo) oraz biografie zbeletryzowane tzw. vie romance. Te ostatnie zaś są rzadkością. Kto u nas parą się lub parą takim piśmiennictwem: Boj, Wasylewski, Broszkiewicz i Jastrun. Nie wielu więcej można by wylizyć. A zamówienie społeczne jest! Świadczy o tym dobitnie ciągle wznowienia tych nielicznych dzieł z zakresu zbeletryzowanych biografii i essayów historyczno-obyczajowych, jakimi dysponujemy.

Inni moi rozmówcy psioczyli trochę na muzea. Że zbyt rzadko w naszym kochanym starym Krakowie organizują dobre, przejrzyste wystawy, że zbyt zasklepiają się w swej, zresztą bardzo pożytecznej zapewne pracy naukowej, a mało mają kontaktów popularyzatorskich. Padło na przykład takie zdanie: Pragnęłabym się dowiedzieć, jak ubierały się kobiety polskie w różnych epokach historycznych. Przecież muzea muszą mieć takie stroje. Czy nie można by zorganizować jakiegoś „żywego” wystawy kostiumów”. Albo: „Dobrze by było, gdyby pracownicy nauki objaśniali na konkretnych przykładach różnice między poszczególnymi stylami w budownictwie. I to nie tylko w takim skromnym zasadniczym podziale na styl romański, gotycki, renesans czy barok, ale żeby podczas wycieczek po mieście tłumaczyli, skąd się wziął u nas taki czy inny styl, jak jeden styl, załamywał się a powstawał nowy. To jest także pole do popisu dla prasy, kina i telewizji.”

Było szereg innych ciekawych pomysłów. Sugerowano więc na przykład cykle wykładów na temat odkryć archeologicznych, tak aby nie wyrwykowo (jak to zwykle czyni prasa) lecz w ramach szerszego, zamkniętego obrazu wytłumaczyć znaczenie tych badań i ich postępy. Wreszcie posypały się pytania na temat nauki i techniki. I tu okazało się, jaką pustynią jest ten temat. Nie istnieje u nas żadna choćby krótka historia polskich wynalazków i odkryć. Łukę tę starają się od lat zapełniać „Problemy” publikując niemal w każdym numerze artykuły o „władzie Polaków do nauki”. Niestety są to tylko studia z konieczności bardzo fragmentaryczne, nie dające poglądu, a nawet choćby tylko skrótowego przeglądu — całości zagadnienia. A ludzie się interesują taką choćby prostą sprawą: czy z wielu wynalazków i odkryć polskich korzystał i korzysta cały świat? Jaki był z tymi naszymi wynalazkami? Czy prawda, że na ogół nie mieli szczęścia, że brakowało im poparcia moralnego i finansowego? Czy zmarnowaliśmy wiele szans? Mam wrażenie, że pytania zadawane przez moich rozmówców były wcale sensowne. Trudno mi oczywiście wymienić wszystkie propozycje, które wysunęli. Ale — mam wrażenie że nie do pogardzenia jest choćby ta: zanim powstanie muzeum techniki i wystawa techniczna w Parku Kultury, zaplanowanym między Nową Hutą a starym Krakowem, warto by było, aby poszczególne instytucje naukowe na własną rękę zabrały się do pracy popularyzatorskiej. Nie tylko o odczyty tu chodzi. Uniwersytet Jagielloński, Akademia Medyczna, Politechnika, Akademia Górnicza, a nawet poszczególne wydziały tych uczelni mogłyby urządzić szereg wystaw obrazujących rozwój reprezentowanych przez nie działów nauki na przestrzeni historii, oraz zademonstrować swe obecne prace i osiągnięcia. A to by było na prawdę ciekawe. Stanowiłoby nie tylko popularyzację nauki wśród szerokiego rzesz społeczeństwa. Dawałoby młodzieży — tej młodszej, zamierzającej dopiero wstąpić na studia wyższe, pogląd na działalność poszczególnych instytucji naukowych: ułatwiałoby jej wybór studiów. Mam wrażenie, że wiele propozycji wysuniętych przez tzw. szarych ludzi nadaje się do prędkiej realizacji.

Adam Hollanek



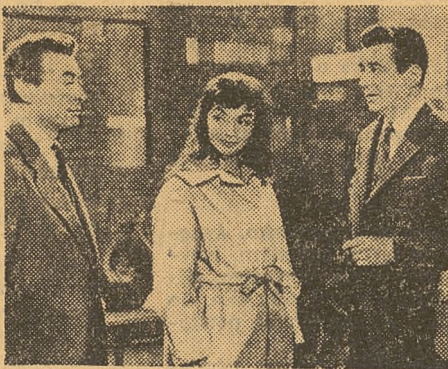
Izotopy i serce

Ten aparat zwany radiografem notuje stan serca i układu krwionośnego pacjenta, któremu wprowadzono do organizmu małe dawki izotopów radioaktywnych. W ten sposób uzyskuje się szczegółowe dane o zdrowiu czy chorobie. Zdjęcie pochodzi z Moskiewskiego Instytutu Chirurgii Klatki Piersiowej.



Zaporożec

Młodziśników sportu motorowego na pewno zainteresuje zdjęcie nowego małodlitrażowego samochodu radzieckiego „Zaporożec”. Maszyna zabiera 4-ch pasażerów, rozwija szybkość ponad 80 km/godz. Jest niezwykle łatwa do prowadzenia, a spala zaledwie około 6 litrów na 100 kilometrów. 4-cylindrowy silnik umieszczono z tyłu wozu.



Nowa pieśniarka

Wielką sławę zdobywa ostatnio we Francji nowa pieśniarka Jaqueline Denno. Na pewno nieraz usłyszymy ją przez radio. Ostatnio Jaqueline zaangażowano do filmu, gdzie wystąpi wraz z Danielle Darrieux. Oto pieśniarka z partnerami.



„Mój wujaszek” — kolorowa komedia francusko-włoska, której scenarzystą, reżyserem i głównym aktorem jest Jacques Tati — niezapomniany Pan Hulot z niezapomnianych „Wakacji”.

REGULACJA URODZIN

CZY NAPRAWDĘ REWELACYJNE

Doniesiono, że podobno do kraju sprowadza się próbną serię pigulek skutecznie zapobiegających ciąży. Pigulki te zażywa się doustnie. Czy spełniają pokładane w nich nadzieje? Aby choć częściowo zaspokoić ciekawość Czytelników interesujących się sprawami regulacji urodzin (a z listów wiemy, że takich jest bardzo wielu) informujemy na razie o opiniach uczonych zagranicznych, którzy posiadają już pewne konkretne wyniki przeprowadzonych badań i doświadczeń.

Enovid i Norlutin

Takie są fabryczne nazwy środków chemicznych wybranych spośród wielu różnych chemikaliów syntetycznych zwanych progestinami. Skuteczność nie jest stuprocentowa. To znaczy, że u niektórych kobiet środki te po prostu nie zapobiegły ciąży. Ale ogromna większość badanych uniknęła zapłodnienia. Krótko mówiąc ENOVID i NORLUTIN nie jest lepszy ani gorszy od stosowanych dotychczas z dość dobrymi wynikami innych starszych metod zapobiegania ciąży jak — kremy, tabletki, gąbki z płynem oraz błony. Rewelacyjność obu niemal bliźniaczych środków polega na niezwykle dogodnym sposobie ich używania. Są to pastylki, które się połyka.

Łatwe ale przykre

Zdawałoby się, że istotnie znaleziono wreszcie metodę, o

której ludzie marzyli od dawna. Ale i ona ma swoje ujemne strony. Pigulki enovidu czy norlutinu wywołują u wielu kobiet nudności, czasami drgawki. Najgorsze jest, że sprzyjają tyłci. I jeszcze jedyna niedogodność. Dla uzyskania zamierzonego skutku musi się zażywać pigulki — dzień w dzień przez 20 dni w miesiącu. Najmniejsza nieregularność może zniweczyć całą metodę. Mało jest — powiada lekarze — kobiet tak dokładnych i cierpliwych, aby z pedanterią potrafiły przez całe lata nie uchybić zasadzie: pigulka dzień w dzień przez 20 dni każdego miesiąca.

Inne za i przeciw

Profesor uniwersytetu w Harvard John Rock, który badał stosowanie nowych środków w Puerto Rico, twierdzi, że w razie przerwania „kuracji pigułkowej” płodność kobiety nie tylko się nie zmniejsza lecz przeciwnie — wzrasta. Ma to swoje złe i dobre strony. Złe — bo najmniejsza nieregularność w stosowaniu metody naraża kobietę, nie pragnącą mieć dzieci — na ciążę. Dobre — bo jeśli rodzina dorobiwszy się, powiedzmy, odpowiednich warunków materialnych, zechce mieć dziecko, to pewnością zapłodnienia będzie w wyniku stosowania kuracji i jej przerwania znacznie większa niż w warunkach normalnych. Istniały obawy, że pigulki mogą

przyczyniać się do rozwinięcia raka kobiecych narządów rodnych. Badania wykazały efekt wprost przeciwny. Mówi wymieniony już powyżej dr Rock: „Enovid nie leczy raka, ale trzyma go jakby w szachu, a już na pewno nie powoduje powstania ani rozwoju tej choroby”. Istotnie podczas pigułkowej kuracji postępy raka zostają zahamowane.

Konkluzje

Działanie środków progestinowych polega na wywoływaniu zmian w miesięcznym cyklu kobiety. Byłoby to więc najbardziej „naturalna” metoda zapobiegania ciąży spośród wszystkich dotychczas znanych. Ogromna, mimo pewnych niedogodności, łatwość stosowania, nowych środków, ich doustne zażywanie — rokuje im poważną przyszłość. W krajach kapitalistycznych zarówno enovid jak i norlutin są stosunkowo drogie i przez to dostępne tylko (jak na razie) dla zamożniejszych. Dalsze doświadczenia i badania pozwolą na stwierdzenie, czy pigulki nie mają jakiegos szkodliwego działania ubocznego. A badania w naszym kraju? Od ich wyniku zależy, czy progestinowe pigulki staną się szeroko używanym środkiem warunkującym regulację urodzin, środkiem, który chyba szybko zakasowałby wszystkie dotychczasowe.

HUMORESKA

LESZEK MARUTA

DR SCHNAPS ZREDUKOWANY

Doktor Schnaps, kierownik sekcji dokumentacji naukowej instytutu „Osteuropa” w Monachium, szacownej instytucji, zajmującej się dochodzeniem historycznych praw Niemieckiej Republiki Federalnej do terenów, położonych na wschód od Odry i Nysy, aż po Cieśninę Beringa, opuścił swoje biuro w stanie najwyższego zdenerwowania.

Z gołą głową, w rozpiętym płaszczu, ruszył prosto przed siebie, jak lunatyk, ślepy na świetlną sygnalizację ruchu i głuchy na trąbki samochodowe.

Przeszedł wzdłuż całej ulicy Ludwika, potem machinalnie skręcił w ul. Księcia Regenta i minawszy ją, zagłębił się w aleję, prowadzącą do Ogrodu Angielskiego. Krocząc wzdłuż barwnych klombów, wciąż jeszcze przeżywał w myślach rozmowę, jaką odbył przed chwilą ze swym zwierzchnikiem — dyrektorem Instytutu do spraw wschodnio-europejskich, profesorem Ottonem F. Halunke.

Otóż do zadań dr Schnapsa należało m.in. gromadzenie wszelkich materiałów: wycinków prasowych, map i książek świadczących czarno na białym o praniemieckości poszczególnych miast na Wschodzie.

Przez cały miesiąc sperał po najrozmaitszych bibliotekach i archiwach i wreszcie tego dnia właśnie zapukał do drzwi gabinetu dyrektora.

Profesor Halunke był tego dnia w okropnym humorze i powitał Schnapsa dość kwaśno:

— Tja, was neues, Schnaps? — doktor wypreżył się na baczność.

— Ich melde gehorsamst, Herr General-direktor — zameldował służbiście — że ukończyłem wreszcie pracę nad dokumentacją. Oto raport!

— Proszę go odczytać! — zażądał dyrektor Halunke.

— Warschau — zaczął Schnaps. — W czasie obu ostatnich wojen siedziba niemieckiego gubernatora. Przebywali w niej wybitni Niemcy: hrabia Brühl, August Mocny, kanclerz Adolf Hitler, generał Reinefart oraz ostatnio, gauleiter Erich Koch, w charakterze oskarżonego...

— Dalej! — przerwał mu ostro Halunke.

— ... Krakau, do niedawna jeszcze stolica Generalnego Gubernatorstwa. W roku 1940 założono w Krakowie Institut für Deutsche Ostarbeit... W Krakowie bawił przez jeden dzień Reichsführer Himmler...

— Dalej! — przynaglił go Halunke.

— Stadt Radom, była siedziba Kreishauptmanna...

— Dalej!

— Kielce...

— Też była siedziba Kreishauptmanna, co? — zaryczał Halunke — Dość!! Posuwa się pan naprzód jak ciężarny żółw! Nasz Wehrmacht sięgał po Kaukaz, Wołgę i Ładogę, a pan nie może wyśledzić nosa poza Kielce! Kreuzhimmeldonnerwetterhimiherrgottsakramentkruzfixnochamall! Albo do jutra dostarczy mi pan pełnej dokumentacji, albo wyleję pana na zbity pysk! Abtreten!

Im bardziej doktor Schnaps zagłębiał się w alejki parku, tym większa gorycz zale-

wala jego serce. W końcu desperackim ruchem zapiał płaszcz i skręcił w uliczkę Ti-voli. W chwilę później zniknął w drzwiach podrzędnej knajpy „Nad Izarą”.

Kto by zadał sobie tego dnia trud śledzenia doktora Schnapsa, stwierdziłby, że znakomity uczonec po dobrej godzinie opuścił próg „Baru nad Izarą” i lekko zataczając się, podążył bulwarem w stronę ulicy Maksymiliana. A tam już, po drodze, nie opuścił ani jednej knajpy. Jeszcze koło północy widział go patrol policyjny przy kościele Panny Marii, jak trzymał się oburącz latarni...

Nazajutrz, w samo południe, ktoś energicznie zastukał do drzwi gabinetu dyrektora Halunke. „Herein!” — wrzasnął dyrektor, nie odwracając wzroku od papierów, leżących na biurku. W progu ukazał się doktor Schnaps... Uczony wyglądał wprost opłakanie. Płaszcz miał umazany sadzą i gliną, a do tego w kilku miejscach rozdarty. W jego bladej, nieogolonej i zapuchniętej twarzy dziwnym blaskiem gorzały przekrwione oczy.

— Alles ist... ep... fertig, Herr General... ep... direktor! — oznajmił Schnaps — Wszystko gotowe! Cały Wschód możemy... ep... w każdej chwili objąć w posiadanie. Tylko siadać i... ep... jechać! Oto dokumentacja!

Dyrektor Halunke wziął podany mu brudny i zmieszany listek, przypominający restauracyjną papierową serwetkę. W miarę czytania koślawych linijek pisma twarz jego purpurowiała coraz bardziej. Oto bowiem, co widniało na kartelusku:

„PEKIN — stare, wschodnio-niemieckie miasto nad cichym Dorem. Miejsce urodzin kanclerza Adenauera. W śródmieściu konny pomnik Jana Straussa... BOMBAJ — gród krzyżacki nad Zatoką Perską, założony przez Fryderyka Wielkiego. W wieku XVIII-tym kalifem Bombaju był minister von Erentano. W Bombaju urodził się cesarz Wilhelm II. Tamże nadzorca haremu był Horst Wessel... ULAN-BATOR — malownicze, pruskie miasteczko w dolinie Bramaputry. W śródmieściu meczet, ręcznie odmalowany przez Adolfa Hitlera oraz gotycka katedra. W katedrze cudowny obraz marszałka Rommela pędzla generała Heusingera... W rynku pomnik ministra Oberländera jako Dzyngis-Chana...”

— Herr Je! — zaryczał Halunke — Schnaps, pan to wszystko chyba napisał po pijanemu!

— Jawohl, Herr General... ep... direktor! — przyznał doktor. — Ale czy normalny człowiek może po trzeźwemu wymyślać takie bajdy, jakich pan ode mnie wymaga?

— Was?!! — zawył Halunke. — Rrraus! Precz stąd!!

— Adieu, Herr General... ep... direktor! Do zobaczenia — w Pekinie! — pożegnał go z rozkleszczonym uśmiechem Schnaps, po czym, zataczając się, opuścił gabinet. A w kwaterach potem zamknęły się za nim na dobre drzwi knajpy „Pod Wytrwałym Rewizjonistą”.

U KABALARKI

FRAGMENT POWIEŚCI „CZY PANI MIESZKA SAMA”



Ktoregoś dnia Grażyna zaproponowała Xenii, aby się razem wybrały do kabalarki.

— Jakto? — zdziwiła się Xenia. — Coś takiego jeszcze istnieje?

— Jak najbardziej, tylko robią to pokątnie i w wielkiej tajemnicy. Danusia zdradziła mi jej adres, w zamian za adres krawcowej. Podobno przepowiada nieomylnie.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, to będą do niej kolejki, a ja już mam dosyć kolejek warszawskich. Zresztą nie wierzę w takie bzdury...

— Kto by tam wierzył! — przytaknęła gorąco Grażyna. — I właśnie dlatego można spróbować, ot tak sobie, dla heci. Ja w każdym razie wybieram się do niej dzisiaj, bo dzisiaj piątek. Mogę cię z sobą zabrać.

W okolicy Pałacu Kultury stoją jeszcze dzisiaj na pół rozwalone i spalone murnie kamienie, straszliwe memento wojny, spoglądające pustymi oczodołami okien bez szyb na białe, piankowy przepych Pekinu. Gdzieś niedaleko widnieje jeszcze oznaka życia: za mętną szybą czerwieni się pelargonie, lub szalwia w doniczce, zieleni się kaktus. Przypomina to starą, zniszczoną mogiłę, na której jakaś pieczołowita ręka kładzie troskliwie wianuszek z nieśmiertelników, sadzi bratki — z potrzeby barwy, drobnej radości życia, wierząc że i zinarum jest ona miła.

Obie przyjaciółki z odrazą i niepokojem przeszły przez małe zaśmiecone podwórko, trafiły do drzwi, z wypisanym na nich koślawie kredą określonym numerem i weszły na szare, brudne i niemal zawalone schody. Jak zwykle w takich ruderach czuć było kotami, choć samych kotów widać nie było. Xenia pomyślała, że starożytni Egipcjanie, którzy między innymi zwierzętami czcili również i koty, nie posiadali widocznie powonienia...

Zapukały do drzwi, na których widniało nazwisko: Anna — stajnia Dubczyk.

— To tutaj! — rzekła Grażyna.

Wyjrzała mała dziewczynka w brudnej sukience, z białkami oczu na szarej twarzy.

— Do kogo? — zapytała nieufnie.

— Tu podobno mieszka ta pani, która stawia karty.

Dziewczynka bez słowa wpuściła je do izby, która była zarazem i kuchnią, i pokojem, i poczekalnią. Stara babcia, połączenie człowieka z pajakiem i pajęczyną, gotowała coś na piecyku. Obok kuchennego pieca stał wózek z dzieckiem, które ryczało. Przy stole, rękami zasłaniając uszy, siedział kilkunastoletni przystojny chłopak i pisał coś w zeszytach. Na wkleśłym, zniszczonym tapczanie czekało kilka „klientek”. Miały chustki, albo kolorowe berety na głowach i tępe, ponure twarze. Siedziały w piaszczach barwy popiołu z piaskiem, z szeroko rozkraczonymi nogami, obutymi w pantofle bez pięt, które ukazywały pończochy, pochłapane błotem.

Xenia chwyciła Grażynę za rękę.

— Chodźmy, przecież nie będziemy tu czekały jak głupie i w dodatku w takim powietrzu. Przyjdziemy innym razem.

— Drugi raz nie będzie nam się chciało tu przyjść. Zostanemy.

Oparły się o ścianę i czekały na swoją kolej, jak w Ubezpieczalni.

— Chciałam się od tej wróżki dowiedzieć, — rzekła jedna z kobiet — czy długo tak się będę męczyć z tym moim chłopem? Znowu całą noc spędził w Izbie Wytrzeźwień. Wszystkie jego zarobki idą na wódkę. Ona przepowiedziała kiedyś mojej sąsiadce śmierć w rodzinie, no i niedługo po tym teściową pogrzebali...

— Co pani powiesz? — zdziwiła się druga. — To znaczy, że dobrze przepowiada. Ja to bym chciała, żeby mi wskazała szczęśliwe numery w „Totku”. Sklepił bym sobie założyła — dodała z rozmarzeniem w oczach.

— A ja bym chciała wiedzieć, — odezwała się trzecia — kiedy mojego starego puszczą. Inni narobili kantów, a on niewinnie siedzi... Właśnie byłem w szpitalu na chorobie, kiedy to się stało...

Obok nich na kiwającym się stołku siedziała ładna młoda dziewczyna w kokieterystycznej, nylonowej chusteczce. Ta prawdopodobnie miała inne marzenia...

Po godzinym czekaniu przyszła kolej na przyjaciółki.

Pokój, do którego weszły, przedstawiał zniszczone drobno-mieszczańskie marzenia. Stały w nim dwa małżeńskie łóżka z wysoko ułożonymi poduszkami, przykryte siatkową kapą z frędzlami. Na obu łóżkach stały, czymś niewidocznym podparte, okrągłe i trójkątne poduszeczki z marszczonym różowego jedwabiu. Nad nimi wisiała na ścianie duża fotografia małżeńskiej pary w ślubnych strojach: on miał czarne wąsiki, ona na czarno podmalowane powieki; oboje wytrzeszczali oczy w przyszłość, o której jeszcze nie wiedzieli, czy będzie jasna, czy ciemna... Pod drugą ścianą wyrzucił się dumnie kredens z orzecha kaukaskiego, za którego szklaną witryną paradowały kolorowe kryształowe kielichy.

Przy okrągłym stole, przykrytym narzutą, siedziała „wróżka”. Była to osoba w wieku nijakim, z wielką czupryną, utlenioną na złoty kolor; na jej pospolitej twarzy nie się nie malowało poza sztucznymi rumieńcami i ustami, połączonymi ciemną wiśniową pomadką. Miała na sobie suknię, przypominającą i rozchełstana perkalową nocną koszulę i tandetną nieświeżą „podomkę”. Na stole leżała talia potłuczonych i zniszczonych kart.

Na pierwszy ogień poszła Grażyna, mimo wszystko trochę zemocjonowana.

— Przepowiadam przyszłość i przeszłość — wyrecytowała jednym tchem wróżka. — Z przeszłością o dziesięć złotych drożej.

— Przeszłość znam, — rzekła Grażyna, — proszę mi powiedzieć to wszystko, co ma mnie spotkać w najbliższej przyszłości.

— Połóż pani tutaj na kartach dwudziestaka, aby się wróżba sprawdziła.

Grażyna posłusznie wyjęła z torebki dwadzieścia złotych i położyła na talii. Xenia spojrzała na ręce kabalarki i pomyślała, że charakter i upodobania człowieka o wiele łatwiej poznaje się po rękach, niż po twarzy. Twarz można ucharakteryzować, nadać jej odpowiedni wyraz — na ręce nie ma rady! Czerwone pazury nie zmieniały pospolitego wyrazu krótkich, tłustych palców, łopatkowatych paznokci, szerokiej małej dłoni.

Kabalarka wzniósła oczy w sufit.

— Święty Xenofonie, święta Agato męczenniczko, święty Hermesie i sześciu młodzieńców w piecu ognistym, wzywam was, abym oświecona przez wasze pośrednictwo, ujrziała z tych kart, co się stać ma, co się nie odstanie, co serce pragnie a duszę ukoj, złe i dobre. Amen. Proszę powtórzyć: amen.

— Amen! — powtórzyła Grażyna z głupkowatym uśmiechem.

— Nie wygląpij się! — Xenia trąciła przyjaciółkę łokciem, po czym ironicznie spojrzała na kabalarkę. — To pani jest taka pobożna?

— Kto z Bogiem, — Bóg z nim — odparła tamta karzącym tonem. — To nie jest czarne maggi, tylko białe maggi, a białe maggi zawsze z Bogiem i świętymi pańskimi.

— Chyba „magia”, a nie „maggi” — poprawiła ją rozba-wiona Xenia.

Kabalarka popatrzyła na nią ze złością i kazała Grażynie zebrać karty na trzy kupki.

— Duże powodzenie w domu publicznym na tańcówce — recytowała teraz jednym tchem — urzędowa osoba w domu, daleka podróż na wyciele, zadowolona przyjaciółka z kłopotem do domu. W niedalekiej przyszłości blondyn z ożenkiem...

— Nie znam blondyna — przerwała jej Grażyna.

— Proszę wyciągnąć trzy karty. Co serce ukoj, a pragnienie wzmocni? Brunet się ściele, szatynka z zazdrością koło niego.

— Zgadza się, — rzekła z triumfem Grażyna. — To jego żona! I co, rozwiedzie się?

Kabalarka tylko czekała, aby klientka puściła farbę i zaczęła mówić o sobie, o choczko więc przytaknęła, że brunet na pewno się rozwiedzie, że „mariżowa karta jest koło Grażyny, choć bubeł żółdny stoi na przeskodzie”. Skończyła i tłuste, chciwe ręce złożyła na podolek.

— A teraz pani...

— Tylko proszę bez tego pobożnego wstępu ze świętym Xenofontem i świętym Hermesem, bo szkoda czasu — rzekła Xenia.

Wróżka spojrzała na nią z odrazą.

— Spróbuję, — mruknęła ponurym głosem, — proszę karty zebrać na trzy kupki.

Polizała paluchy i zaczęła karty układać w dwa rzędy. — Co serce niepokoi, a w głowie płonie: matka chora na nogi, chodźcie nie może...

— Nieprawda! — przerwała Xenia ze złością. — Moja matka nigdy na nogi nie chorowała i nie chodzi, a biega.

— No, to zachoruje! Szpital się ściele. Dziesiątka winna obok, dużo gości w domu. Babce interes dobrze idzie, karta pieniężna koło niej...

Xenia ze śmiechem zwróciła się do Grażyny:

— Babcu „interes” dobrze idzie, uważasz, w niebie z aniołkami. Może tam sklep z delikatesami założyła — hihhi!

— Jak mnie pani masz obśmiewać, to nie będę kładła i już! — obraziła się wróżka.

— Za moje pieniądze nie wolno mi trochę pożartować? Proszę, niech pani stawia dalej.

Zdenerwowana wieszczka zapaliła papierosa i zmiarkowała, że ta ironiczna klientka ma jednak zamiar zapłacić za wróżbę zaczęła pleść dalej:

— List w drodze w urzędowej sprawie, kłopot z szatynką w domu, zazdrośna, mała kradzież na wyciele, brunet się ściele...

— A może to nie brunet, a szatyn? — zainteresowała się mimo woli Xenia.

— Może być szatyn — zgodziła się kabalarka.

— No i co? Przyjdzie? Zatelefonuje? — Xenia pytała z zainteresowaniem, zapomniawszy o swoim kpiącym stosunku do kabaly.

— Połóż panusia tutaj, na królu sercowym piątkę, to się zaraz dowiemy, — a gdy Xenia spełniła jej życzenie, rzekła z namaszczeniem, — Co serce ukoj, a pragnienie wzmocni: ożenek.

— Mój, czy jego?

— Wspólny. Ino co kłopoty w domu z mieszkaniem — pochylała się, aby podnieść Xenii torebkę, która spadła z poręczy krzesła i znalazła się pod stołem. — No, to byłoby wszystko.

Dała tym do zrozumienia, że seans skończony i że inne klientki czekają na swoją kolej. Zapiściły więc, kiwnęły, wróciły na pożegnanie głową i wyszły.

W przejściu jedna z panuszków chwyciła Xenię za rękaw.

— No i co? No i co? Dobrze mówi? Prawdę? Warto do niej iść?

— Któż z nas zna prawdę? — odparła Xenia sentencjonalnie. — Ale iść można. Tylko jeśli powie, że pani matka choruje na nogi, a babcia handluje, to niech jej pani od razu odpowie, że buja!

— Jakżeż buja, panusiu, jakżeż? Taż to sama prawda! Mamusia moja, jak zeszłego roku poszła na chorobę, z tych nóg właśnie, tak jeszcze do dzisiaj leży, a babcia na bazare ciuchami handluje. Dobrze powiedziała, leć do niej!

Gdy Xenia w powrotnej drodze (którą odbywały tramwajem) zaczęła szukać swojej miesięcznej karty, spostrzegła z niemym zdziwieniem, że atrakcyjny różowy jęczyczek setki nie wyziera z przegródki torebki; dokładny przegląd zawartości nie dał pożądanego rezultatu.

— A widziś! — rzekła poważnie Grażyna. — Jedna wróżba już się sprawdziła: przecież kabalarka przepowiedziała ci najwyraźniej małą kradzież...

MAGDALENA SAMOZWANIEC

NIEUDANA PRÓBA PORWANIA WILHELMINY HOLENDERSKIEJ

„GDY PORWIEMY KRÓLA ANGIELSKIEGO — WOJNA SKOŃCZY SIĘ BŁYSKAWICZNIE”.

„GŁÓWNA KWATERA NIEMIECKA WITA EKSCELENCJĘ Z GŁĘBOKIM USZANOWANIEM”.

W zamiarach Hitlera nie tylko przewidziane było wytopienie narodów słowiańskich, co zresztą pragnął uczynić w pierwszym rzędzie, lecz również narodów Europy zachodniej. Angielski dziennikarz Comer Clarke posyłał kiedyś, że w Innsbrucku w pobliżu Berchtesgaden mieszka człowiek, który mógł mu wyjaśnić wiele szczegółów związanych z „planem wytopienia narodu angielskiego”. Był nim jeden z szefów sieci szpiegowskiej Abwehry, Otto Begus, dzisiaj człowiek sześćdziesięcioletni, który prowadził dostatni żywot handlowca. Do niego też niezwłocznie udał się Clarke. A oto jego relacja:

Zapukałem do drzwi, otworzył mi sam Otto Begus. Kiedyś skazany przez sądy austriackie na trzy lata więzienia za aktywną działalność hitlerowską, dzisiaj cieszący się szacunkiem handlowca. Widocznie wiedział o mojej wizycie, bo z miejsca oświadczył, że nie widzi żadnych przeszkód w dokładnym wyświetleniu tajemnicy swego „führera”.

Zanurzyliśmy się w mrokach ponurych dni 1940 roku.

„Porwanie angielskiej rodziny królewskiej zostało mnie powierzone, ponieważ na kilka tygodni przedtem kierowałem akcją mającą na celu porwanie holenderskiej królowej Wil-

PORYWACZE RODZIN KRÓLEWSKICH

helminy z jej siedziby w Ruygenhoek. Akcja ta jednak spaliła na panewce, ponieważ na pół godziny przed naszym desantem udało się królowej przedostać na wybrzeże, gdzie oczekiwał na nią niszczyciel angielski, którym przepłynęła do Anglii.

Po tej pierwszej nieudanej próbie wróciłem do Niemiec a tymczasem nasze armie opamowały Holandię, Belgię i Francję w rezultacie czego stanęliśmy wreszcie w Calais; przed nami rozciągał się brzeg naszego największego wroga. W miesiąc po powrocie do kraju otrzymałem rozkaz skomunikowania się z jednostką wojskową w Boulogne. Tam przygotowane odoosobnioną willę ze specjalnym połączeniem telefonicznym łączącym nas ze sztabem głównym Abwehry bazującym w Muenster. Natychmiast dostałem stamtąd szczegółowe instrukcje. Głos w słuchawce brzmiał sucho i bezosobowo. Krótko stwierdził: Otrzymał pan rozkaz porwania angielskiej rodziny królewskiej w momencie naszej inwazji na wyspy brytyjskie. Fuehrer ukaże, że ten czyn zaważy decydująco na wynikach wojny i oszczędzi życie tysiącom ludzi. W rezultacie doprowadzi do szybkiego zakończenia wojny — z trzech przyczyn: 1) porwanie rodziny królewskiej skłoni siły zbrojne angielskie do natychmiastowego „zaprzestania ognia”. 2) porwanie wpłynie demoralizująco na ludność brytyjską. 3) po zakończeniu działań wojennych postaramy się nakłonić króla, by w rozsądny sposób wezwał swój naród do spokoju i wyrzeczenia się oporu.

Zapytałem, ile damo mi czasu na przeprowadzenie tej akcji. Głos mi odpowiedział, że inwazja na Anglię przewidziana jest w każdej chwili i ja polecę jako jeden z pierwszych na czele mego oddziału. Nad pałacem

w Buckingham miałem dokonać desantu i opanować artylerię przeciwlotniczą oraz gniazda karabinów maszynowych. Po dokonaniu tego miałem otrzymać specjalny sygnał radiowy i przystąpić do akcji. Mój oddział miał ruszyć na pałac bez zatrzymywania się używając broni w razie ewentualnej potrzeby. Ja zaś z najlepszymi miałem od razu uwięzić rodzinę, która od tego momentu miała być uważana za zakładników.

Ładowanie w centrum Londynu nie było łatwe i dlatego damo mi pełną swobodę w wyborze żołnierzy. Zebrałem w Boulogne 23 oficerów gotowych na każde zawołanie. Według mnie pozostawały tylko dwie możliwości wykonania zadania: 1) desant na najmniejszej wysokości nad samym pałacem buckinghamskim, naturalnie po przeprowadzeniu silnego bombardowania. 2) desant masowy nad Green Park, który dawał bardzo małe możliwości powodzenia. Kilka dni później Kwatera Główna dostarczyła nam szczegółowych planów pałacu i okolicy oraz najświeższe fotografie każdego z członków rodziny tj. króla Jerzego VI, królowej Elżbiety, księżniczki Elżbiety i Małgorzaty, oraz królowej matki Marii. Obowiązkem każdego z nas było zapamiętanie sobie wszystkich szczegółów ich twarzy. Na kilka godzin przed ostatnią naradą bojową naszej grupy otrzymałem telefon z Muenster podający informację, o inwazji mającej natychmiast nastąpić. Otrzymałem instrukcję wskazującą w jaki sposób należało powitać rodzinę królewską. Brzmiała ona: „przy spotkaniu z parą królewską macie złożyć przepisowy wojskowy ukłon niemiecki (a NIE pozdrowienie hitlerowskie). Natychmiast po uwięzieniu jej macie powiedzieć — Główna Kwatera niemiecka

wita Ekszelencję z głębokim szacunkiem. Zgodnie z wolą führera naszym obowiązkiem jest poinformować Ekszelencję, że znajdują się one pod troskliwą opieką armii niemieckiej. — Między innymi z miejsca musicie przeprowadzić rewizję każdego z uwięzionych w celu upewnienia się, czy nie posiadają oni przygotowanej trucizny. Członkowie rodziny podlegają karom cielesnym jedynie w ostatecznym wypadku. Musicie ich szybko zgromadzić w jednym pokoju i natychmiast porozumieć się z nami drogą radiową”.

W trzy dni później zebrałem ponownie swych oficerów w Boulogne. Od tej chwili pozostawaliśmy w stanie ostrego pogotowia a willa została zabezpieczona przed najmniejszą nawet penetracją. Doskonale jednak wiedzieliśmy, że wykonanie zadania zależało przede wszystkim od przygotowania lotnictwa niemieckiego. Miało ono zapewnić armii lądowej absolutnie bezpieczne wkroczenie na wybrzeże w Dover. Nasze pogotowie trwało przez pięć tygodni. W lutym 1941 zawiadomiono mnie, że grupa zostaje rozwiązana a oficerowie przeniesieni do jednostek wojskowych w Grecji...

Comer Clarke mówi o dalszych planach führera. Otóż miał on zamiar „całkowicie zniszczyć rasę anglo-saksońską”. Pierwszym etapem miała być deportacja wszystkich mężczyzn w wieku 17—45 lat na kontynent oraz selekcja najbardziej „nordyckich” typów wśród Angielców, które wraz z wyselekcjonowanymi esesmanami miały stworzyć „nową rasę anglo-germańską”. W następstwie tego, naród angielski, miał raz na zawsze zniknąć z powierzchni ziemi.

TELEWIZJA, KINO TEATR I CO JESZCZE?

(Dokończenie ze str. 6)

Mówi kierownik Wydz. Kultury, mgr
FRANCISZEK KUDUK:

Czy teatr w zestawie różnych form sztuki został rzeczywiście zdegradowany? Czy jest już dzisiaj zwłaszcza w naszych warunkach archiwalną formą sztuki? Czy musi skapitułować? Zaczniemy od cyfr. W przeciwieństwie do wszystkich większych ośrodków teatralnych Polski, gdzie frekwencja w teatrach ostatnio bardzo się obniżyła, w Krakowie ilość widzów teatralnych z roku na rok wzrasta (rok 1957 — 609.212, 1958 — 857.774, 1959 — 877.003). A są to przecież lata poważnego wzrostu sieci kin i zarejestrowania w Krakowie prawie 5 i pół tysiąca telewizorów.

Nie mówię o tych sprawach tylko po to, aby demobilizować pesymistów, ale po to, aby zaproponować dyskusję czy przypadkowo owego „ogólnowiatowego kryzysu teatru” nie dałoby się w warunkach krakowskich odłożyć na kiedy indziej, na nieco później. Teatr z pewnością w tej chwili do skutecznego konkurowania z nowymi dynamicznymi, masowymi, popartymi nowoczesną techniką formami działalności kulturalnej nie jest odpowiednio przygotowany i nad tymi sprawami warto by rzetelnie podyskutować.

Przed wszystkim musimy uznać za fakt, że dla olbrzymiej większości mieszkańców naszego miasta teatr nigdy nie był i nie jest do dzisiaj przedmiotem wyboru kulturalnego (z danych statystycznych wynika (r. 1959), że zaledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi chodzi więcej aniżeli raz do teatru w ciągu roku). A zatem przy odpowiedniej polityce repertuarowej i przy dostatecznej organizacji krąg widzów teatralnych będzie się w Krakowie w najbliższych latach poszerzał. I to w sumie określa dzisiaj i będzie określało pozycję teatru.

Przyjmując taką perspektywę o czym wartości w Krakowie podyskutować:

— o zorganizowaniu w końcu badań socjologicznych, które byłyby źródłem rzetelnej, a nie chałupniczej informacji o widzów teatrów krakowskich (zwłaszcza tej popremierowej), o losach poszczególnych spektakli, o losach i trudnościach widza, który w ostatnim roku po raz pierwszy przyszedł do teatru, o skuteczności dotychczasowych metod organizowania widzów itp.,

— o tym, jak związać z teatrami młodzież, jak kształtować wśród młodzieży nawyki teatralne. Warto by rozważyć możliwość organizowania w szkołach kółek przyjaciół poszczególnych teatrów.

— o roli i zadaniach krytyki teatralnej, zwłaszcza w pismach codziennych (kto właściwie winien być jej adresatem?)

— o dotychczasowych formach propagowania teatru — zwłaszcza na peryferiach miasta. Należałoby ustalić bardziej elastyczne zasady sprzedaży biletów niższych, uruchomić na peryferiach miasta punkty sprzedaży biletów itd. itd.

Czy Kraków jest duchową stolicą Polski?

— Pytanie ubiegłowieczne, niewspółczesne. Rozwińmy miliony spraw kulturalnych samego Krakowa (peryferii), doprowadźmy najpierw do takiej sytuacji, aby Kraków ze swoimi placówkami kulturalnymi i środowiskami twórczymi umiał skutecznie rozwiązywać problemy kulturalne naszego województwa — a wtedy dopiero spokojnie będzie

można rozważać na temat takich uwznioślających określeń.

Aby wyniki naszej ankiety były jaśniejsze, zróbmy krótkie podsumowanie

Czy teatr zajmuje miejsce zasadnicze wśród innych środków oddziaływania kulturalnego? Nasi rozmówcy odpowiedzieli:

- w Krakowie tak, gdyż nie ma innych — 1 osoba (Otwinowski)
- tak, teatr ma szansę, jest sztuką różną od telewizji, filmu itp. — 2 osoby (Skuszanek, Kantor)
- nie, w Polsce kultura teatralna jest znikoma — 1 osoba (Holuj)
- tak, gdyż poza Ameryką kryzys teatru nie istnieje — 3 osoby (Dobrowolski, Kuduk, Kudliński)
- nie odpowiada na to pytanie — 1 osoba (Drobner)

Czy krakowskiemu środowisku twórcemu teatru i filharmonii wystarczą do rozwoju?

- tak odpowiada tylko 1 osoba (Drobner)
- tak, ale z poważnymi zastrzeżeniami — 1 osoba (Skuszanek)
- zdecydowanie — nie — 2 osoby (Znamienie, że obaj pisarze!) Holuj — Otwinowski
- na to pytanie nie udzielają odpowiedzi, aż 4 osoby.

Głównym brakiem, który wysuwają nasi rozmówcy jest brak ośrodka telewizyjnego. Nic dziwnego. Ośrodki takie posiada w Polsce, aż 7 miast, (nie licząc przekazników) w tym Szczecin i inne znacznie mniejsze od krakowskiego środowiska twórcze.

Ponadto: mały odcinek radiowy, brak ośrodka filmowego, studio nagrań płyt itp.

O „deficytowych” teatrach odpowiedzi kształtują się następująco:

- dopłacanie do teatrów uważa za naturalne i oczywiste — 3 osoby
- tak, ale z zastrzeżeniem że nie do wszystkiego co teatr chce zaproponować — 2 osoby
- nie wypowiadają się na ten temat (brak znajomości cyfr) — 3 osoby
- ani jedna osoba nie uważa dopłat do działalności teatrów za niepotrzebny wydatek.

Jakie propozycje wysunęli pod adresem teatrów dla propagowania ich działalności, nasi rozmówcy? — Bardzo istotne. Powtórzmy najważniejsze (naszym zdaniem):

1. dotrzeć do widzów z odległych dzielnic, peryferii
2. spotkania i dyskusje
3. aktywne formy organizacji widowisk teatralnej
4. uwaga! — młodzież szkolna, potencjalni widzowie i przyjaciele teatru!
5. uprzyściplnienie trudniejszych przedstawień, objaśnianie pogadanki lub wydawnictwa, rozszerzanie wiedzy o teatrze.
6. sprawy repertuarowe.

Nasza ankieta nie jest zakończona. Chcielibyśmy znać jeszcze głosy widzów teatralnych, naszych Czytelników. Czekamy na listy!

W najbliższych numerach powrócimy do tego tematu.

Ankieta opracował:
JANUSZ BUDZYŃSKI



KACIK reportażu fotograficznego

PIJANSTWO
W FOTOGRAFII

Wojewódzki i Miejski Komitet Przeciwalkoholowy oraz Polskie Towarzystwo Fotograficzne w Krakowie ogłosiły pierwszy ogólnopolski konkurs fotograficzny pod nazwą: Alkoholizm — klęska społeczna i narodowa. Temat konkursu obejmuje fotografie lub serię fotografii obrazującą wszelkiego rodzaju przejawy alkoholizmu w życiu indywidualnym i zbiorowym współczesnego człowieka. Np. upodlenie człowieka, tragedie rodzin, szczególnie dzieci, katastrofy spowodowane przez nietrzeźwość kierowców itp. Prace należy przysłać na adres Polskie Towarzystwo Fotograficzne, Kraków 1, skr. poczt. nr 185 lub ul. Stolarska 19. do 31 maja br. I nagroda wynosi 2.500 zł, dalsze dwie po 1000 zł, 4 po 500, jedna nagroda za serię zdjęć w kwocie 2000 zł oraz 10 wyróżnień po 150 zł.

KSIAŻKI WYLOSOWALI

STANISŁAW WADAS, Kraków, ul. Kamienna 45 m 3, WITOLD PAWLIK, Tarnobrzeg, ul. Czerwona 13, ANNA SZŁOŚK, Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 34 m 5, JOZEF ZAGÓJ, Kraków 14, ul. Krakusa 9 m 7, ZOFIA MAŁGORZATA BILINSKIE, Stalowa

KSIAŻKI WYLOSOWALI

Wola, Wolności 5 m 4, MARIA KAPUSCINSKA, Starachowice, ul. Podgórze 12, MARIA FISZBACH, Września, ul. Sienkiewicza 20, PIOTR KŁOS, Starogard Gdański, ul. Sikorskiego 16a m 12, HENRYK ZAK, Lublin ZOR, Bronogo 46.

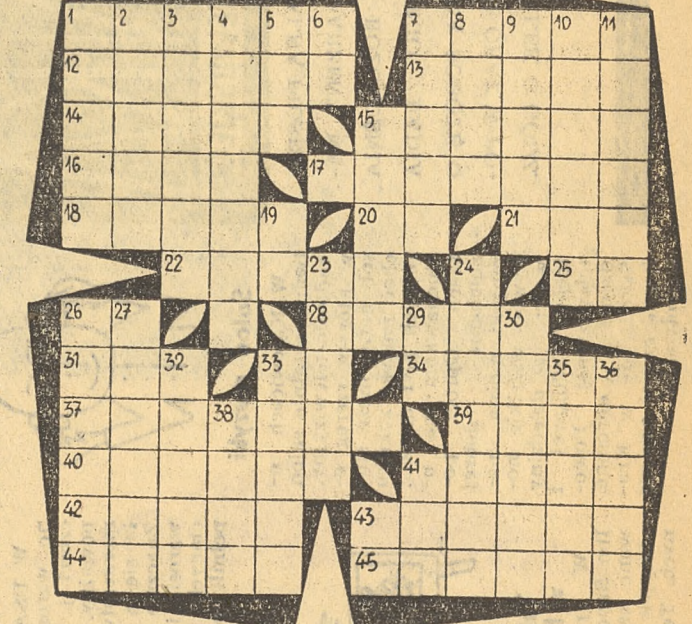
POZIOMO: 1. dretwienie zębów po zjedzeniu czegoś kwaśnego, 7. kraj położony nad górnym i środkowym Nilem, 12. naczynie na mleko używane przy dojeniu, 13. wyborowe towarzystwo, 14. pospolita nazwa oprędu, 15. owoc krain tropikalnych, 16. hebrajskie imię męskie, 17. duża pustynia nadbrzeżna w północnym Chile, 18. waga perska, równa 6,4 kg, 20. inicjały czołowego działacza niemieckiego ruchu robotniczego, zamordowanego przez hitlerowców, 21. promieniotwórczy pierwiastek chemiczny, 22. jon o ujemnym ładunku elektrycznym, 25. przylimek, 26. termin bokserki, 28. nazwa kłusaków orłowskich, 30. „sztuka” w języku martwym, 33. symbol chemiczny tytanu, 34. najmniejsza cząstka energii, 37. żebrak próżniacy we Włoszech, 39. starszy kelner, 40. prototyp miary lub wagi, 41. gatunek papugi, 42. jest żelazna, 43. rosyjski komediopisarz i satyryk, wstawiony bajkami, których napisał ponad dwieście, 44. napój z kumysu, 45. cienka tkanina podobna do atlasu.

PIONOWO: 1. bohater powieści „Syn rybaka” W. Laciśa, 2. czasem bywa przystojniakiem, a czasem spójnikiem, 3. kobieta — zalotnica, 4. przeciwnik w dyskusji, 5. rzeka w Niemczech, uchodząca do Renu, 6. inicjały organizacji podziemnej z czasów okupacji, 7. izba wyższa niektórych parlamentów, 8. urzędowy gońcy konny w Turcji, 9. jednostka monetarna Iraku, 10. dowódca kozacki, 11. oprawa, trzonek, 15. stolica Grecji, 19 partykula, 23. gwiazdozbiór równikowy, 24. ulubieniec, 26. inaczej chromy, 27. mówca pierwszej klasy, 29. inicjały bohatera powstania listopadowego, organizatora ruchu radykalno-niepodległościowego na Podolu, Ukrainie i Litwie, 30. wróżby z kart, 32. talerz wagi, 33. miejsce wojny opisanej przez Homera w Iliadzie, 35. cesarz rzymski, 36. runo łak i pastwisk, 38. zdrobniałe imię męskie, 41. rodzaj papugi, 43. skrót stawiany przed nazwami wielu organizacji sportowych.

Rozwiązanie „Kryżówki” z nru 15-16.

POZIOMO: 1. korund, 6. Anita, 11. apel, 12. obrazek, 14. Manes, 16. asceza, 17. iloczyn, 18. Irak, 19. Lam, 20. idea, 21. caryca, 24. AJ (A. Jirasek), 25. dz. 26. okwiat, 29. zbir, 30. rah, 32. kawa, 34. taktyka, 36. oranie, 38. tuman, 39. talerze, 41. jama, 42. abaka, 43. amant.

PIONOWO: 1. Kamil, 2. opalacz, 3. renoma, 4. ulec, 5. do, 6. ar, 7. nacieki, 8. Iżera, 9. teza, 10. Akakij, 13. banlak, 15. szwy, 22. rubanek, 23. Cortez, 21. At-kama, 25. Dakota, 27. wikt, 28. Aryman, 29. zwala, 31. banat, 33. Arab, 35. tula, 37. Ira, 40. EA (E. Abramow), 42. asceza, 43. iloczyn, 44. Irak, 45. Lam, 20. idea, 21. caryca, 24. AJ (A. Jirasek), 25. dz. 26. okwiat, 29. zbir, 30. rah, 32. kawa, 34. taktyka, 36. oranie, 38. tuman, 39. talerze, 41. jama, 42. abaka, 43. amant.



Co tydzień premie książkowe

Rozwiązania nadsyłać
do dnia 27 IV 1960 r.

„Zdarzenia”. Ilustrowany magazyn tygodniowy, Kraków, ul. Wielopole 1, III p., tel. 235-60 (centrala) i 262-13 (bezpośredni).

Redaguje zespół.

Naczelnym redaktorem Adam Hollanek.

Krakowskie Wydawnictwo Prasowe RSW
Prasa, Kraków, ul. Wiślna 2. Warunki pre-

numeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł, półrocznie 36 zł, rocznie 72 zł. Prenumeratę przyjmuje „Ruch”, urzędy pocztowe i listonosze. Zgłoszenia na prenumeratę zagraniczną przyjmuje „Ruch” Warszawa, Wileza 46.

E-16

zdarzenia str. 9

POLECAMY

POLECAMY

SEWER IGNACY MACIEJOWSKI: U progu sztuki — Wydawnictwo Literackie, Kraków, cena 21. Powieść obrazująca „blaski i niedze” życia prowincjonalnej trupy aktorów w latach 30-tych XIX w. A. LAM, J. TRZNADEL: Wiersze i krajobrazy, Wydawnictwo Literackie Kraków, cena 60 zł. Antologia obejmująca wiersze poetów od Kochanowskiego do Różewicza o temacie krajoznawczym.

IRENA SLAWINSKA: Sceniczny gest poety, Zbiór studiów o dramacie, Wydawnictwo Literackie cena 30 zł. **JOZEF KORZENIOWSKI:** Wyprawa po żonę, Wydawnictwo Literackie cena 18 zł. **MARIAN JACHIMOWICZ:** W czas chłodu, Wydawnictwo Literackie cena 10 zł. **Vasko Popa:** Gry, Wydawnictwo Literackie cena 10 zł. Jest to wybitny poeta serbochorwacki. Za pierwsze dwa tomiki otrzymał nagrody literackie.

SŁOWNIK TERMINOW LITERACKICH WSP, Kraków 1960. Stanisław Sierotwiński, podjął się trudnego zadania zestawienia i wyjaśnienia terminów literackich. Słownik zawiera ta-

kie hasła jak melodramat, burleska, faktura dzieła, o-mówienie kilkunastu rodzajów stylu, rodzaj literackich itp. Zebranie i wyjaśnienie ok. dwóch tysięcy hasel-terminów stosowanych w literaturze stanowi ogromne ułatwienie w studiach dla młodzieży, nau-czycieli i innych czytelników.

NEGACJA I WIKTORIA Nasze Księgarnia, Warszawa 1959.

Powieść historyczna z XVII w. Bronisława Heyduka, Barwnym piórem literata — historyka autor świetnie maluje czas panowania króla Piasta, Michała I, intrygi o władzę hetmanowej Marysieńki Sobieskiej, obyczajowość epoki, zgubne wpływy obcych dworów. Powieść czyta się z tzw. pasją.

ITALO SVENO: Jedno życie — PIW, 1960 — cena 24 zł. Przekład z literatury włoskiej dokonała Zofia Ernstowa.

STEFANIA SEMPOLOW-SKA: Życie i działalność. PIW — 1960. Cena 25 zł. Biografia Sempołowskiej oświetla jej działalność oświatową w Królestwie, następnie walkę w Krakowie o ideologiczne oblicze szkoły polskiej w Ga-

licji. W okresie międzywojennym prowadziła szeroką działalność opiekuńczą nad więziami repatriowanymi do Związku Radzieckiego i nad więźniami politycznymi.

EUGENIUSZ KABATC: Gorzka plaża. Iskry 1960. Cena 10 zł.

MARCEL PROUST: W poszukiwaniu straconego czasu. (t. VI: „Nie ma Albertyny”) PIW, 1960. Cena 30 zł.

ARKADY FIEDLER: Dzikie banany, Iskry 1960 cena 25 zł. Ostatnia wielka podróż Fiedlera przez Chin, Wietnam, Laos i Kambodżę przyniosła w wyniku nową książkę „Dziś i banany”. Jest to barwny, kolorowy reportaż z czarodziej-skiej krainy bohaterów Wietnamczyków, uroczych Tajów, wojowniczych Meów, wy-tępionych niemal doszczętnie Saów i Puoków.

MIECZYSLAW LEPECKI: Z gwiazdy na gwiazdę, Iskry 1960, cena 22 zł. Znany w Polsce międzywojennym autor licznych książek podróżniczych zdecydował się na powrót do Polski. Książka omawiana opisuje Brazylię, w której autor przebywał oraz podróż powrotną do Polski.

